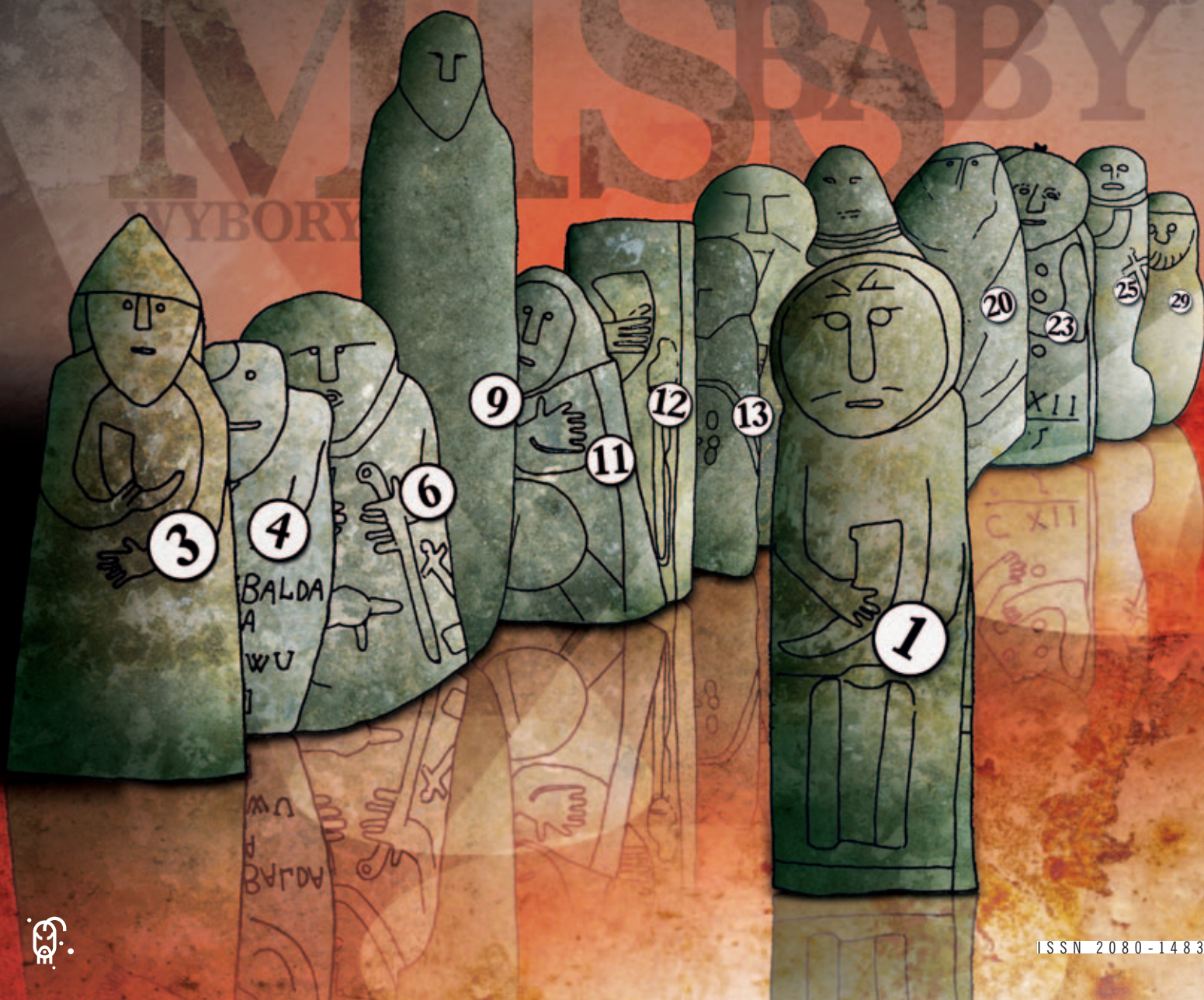


VaritArt

pismo kulturalno-literackie 01/2011



www.wbp.olsztyn.pl



ISSN 2080-1483



FOTOMONTER

Anna Rau IX

Wiosna

Kogo wiosną obchodzi los figurek z szopki bożonarodzeniowych? Znikają z ludzkich mieszkań, z kościołów, wystaw i placów. Oczywiście wszystkie pieczętowane zapakowane lądują w magazynach, piwnicach i składzikach – ale czy ktoś chciałby 340 dni w roku spędzać w składziku? Figurki organizują więc potajemne i bohaterkie ucieczki, i w końcu stopniowo znikają. Dziesiątki Madonn w chabrowych szatkach, Józefowie o siwych brodach, wielbłądy z płaczącymi się na nierównych brukach nogami, osiolki o stukających kopytkach, wiecznie nieobecne owce i stada piszczących z ekscytacji na widok samochodu pastuszków. Oraz trzej królowie w różnych opcjach. „A co będzie, jak nas proboszcz dogoni?...” „Pssst! Nic nie będzie, zamknie nas w kartonie”. „Nie chcę do kartonu!” Figurki ostatecznie tworzą Olsztyn Podziemny z pocztą, kurierami i miejscami spotkań – ale tylko w wietrzne noce! – kiedy w chórze świstów i trzasków nie słychać ich nieludzkich szeptów. Docelowym miejscem tej całej organizacji jest dziedziniec olsztyńskiego zamku ze słynnymi figurami bab pruskich. Tam, gdzie w lochach pod zamkiem świetnie funkcjonuje Ziemia Obiecana Figurek Szopkowych. Baba Pruska to niejako Klucznica, a w właściwie Klucznik wrót wytęsknionych. Dlaczego Klucznik? Co roku wyjaśnia on kwestię swojej płci nowemu pokoleniu emigrantów – że bynajmniej nie jest kamiennym wizerunkiem kobiety, ale wojownika! Że mściwe feministki w odwecie za niewolę płci pięknej przemianowały go na Babę Pruską, on jednak czuje się Dziadem! I kolejne pokolenia figur szopkowych nieodmiennie zapewniają woja kamiennego, iż jest nieodparcie męski i nie ma nic niestosownego czy zgola śmiesznego w jego imieniu kobiecym. „Był sobie na przykład w Persji słynny ze swego rozumu Ali Baba... – zaczął smacznie któregoś razu Melchior8. – »Baba« – rozumiesz, a miał żonę i mnóstwo siły!”. Dziad Pruski kiwał głową, ale w duchu wzdychał, mając w pamięci Babę Jagę...

Co roku też dialogi uciekinierów ze świata składzików brzmiały właściwie tak samo: kilka smutnych opowieści o nudzie w pakulach i papierze pakowym, jakiś nieśmiały plan, trochę pachnących choinką wspomnień. W 2011 nie było inaczej.

- Ja to kiedyś miałem czcicieli – zagaił cichym głosem Dziad Pruski.
- „Kiedys” to my zrobimy rewolucję! – wykrzyknął gipsowy św. Józef 3.
- Ależ mój drogi, wszyscy mamy po 50 centymetrów – próbowała uspokoić go Madonna10.
- My polskie figury szopkowe... – zaczął z namaszczeniem Baltazar 10. – Proklamujemy Republikę Szopkową...
- „Szopkowa” brzmi niepoważnie – mruknął Melchior2.
- Ale i „Szopowa” odpada – zauważył rozsądnie Pasterz32. – To byłaby republika dla szopów pracy.
- Co to szopy prace? – zainteresował się Dziad Pruski.
- Zwierzęta na czapki – rzucił od niechcenia Kacper5.
- Chyba na „na czapkach” – poprawił Dziad.

Szopka w olsztyńskim kościele pw. św. Józefa (2010 r.)
Fot. Anna Rau



- Nie mogę tego słuchać – powiedziała Madonna10, a wielbłądy zaczęły parskać.
- Pewnie są głodne – zauważył Dziad Pruski. – Czym wy je karmicie?
- Tym, co ludzie trzymają w piwnicach. Troszeczkę się włamujemy... – zaczął Kacper3.
- Nie „włamujemy”, tylko wiele jest otwartych – przerwała mu pośpiesznie Madonna7.
- Taaak, wchodzimy do otwartych i bierzemy po kilka słoików ogórków kiszonych, kompoty, paprykę marynowaną... Tylko grzybki nie bardzo im wchodzi.
- Pięknie! – Dziad Pruski wzniósł oczy do nieba – Wiecie, że to jest karalne? Pójdziecie do pudła.
- Tylko nie do pudła! – podniósł się zbiorowy lament.
- A co będzie, jak nas ksiądz proboszcz złapie? – zaczął znowu pastuszek19.
- Postawi cię na kominku! Cicho.
- Ja chcę stąd wyjechać! – wydarł się krzyk z wątlej piersi ubranej na biało Madonny4. – Tam, gdzie jest wieczne Boże Narodzenie – płakała cicho.
- Chcecie Świąt? Przecież niedługo Wielkanoc – westchnął Dziad Pruski, a w duchu skonstatował, że właściwie musi zmienić pracę, gdyż w miesiąc po Wielkanocy zjawi się na zamku masowa fala uciekinierów-baranków i kurczaków.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz, Waldemar Tychek

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sonc.pl

Druk: SOC; info@sphereoncord.com

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



- 02 Fotomonter IX
- 04 Wywiad z Kazimierzem Brakonieckim
- 06 Poezja → Kazimierz Brakoniecki
- 08 Poezja → Borys Bartfeld
- 09 Proza → Katarzyna Enerlich
- 10 Poezja działdowska
- 12 Zadomowieni w pisaniu
- 13 Moda na paski
- 14 Szkice z obrazkiem
- 15 Galeria Centrum Polsko-Francuskiego
- 16 Galeria VariArt-u
- 18 Towarzystwo Naukowe „Pruthenia”
- 20 Śladami Prusów
- 21 Przeszłość zaklęta w nazwach
- 22 O „babach” z wąsami
- 24 Iławscy pasjonaci historii
- 26 Muzeum Regionalne w Iławie
- 28 Św. Brunon
- 29 Staropruski Braveheart
- 30 Recenzja muzyczna

Baby przyleciały z wiosną na archeopteryxach. Gdzie te baby, no, gdzie?

A te baby to dziady... Dziady pruskie! – wyjaśnia to Jerzy Marek Łapo, węgorzewski archeolog i etnograf.

Nie zawsze byliśmy Warmią i Mazurami (prawda nie boli). Dlatego próbujemy odkopać pruskie korzenie, a przy okazji parę innych cennych rzeczy.

Co nam zostało z tych pruskich lat?

Śladami Prusów prowadzą nas Hanna i Marek Mackiewiczowie, po starych grodziskach włóczy „Ylavia”, o pruskim pochodzeniu nazwy „Olsztyn” pisze Iza Matusiak-Kempa, starą legendę o Herkusie Monte opowiada Tomasz Birezowski, zaś prawdę o św. Brunonie – Waldemar Tychek. Prezentujemy również Towarzystwo Naukowe „Pruthenia” oraz inicjatywę powołania Muzeum Regionalnego w Iławie.

W części literackiej czekają na Was: Kazimierz Brakoniecki, proza Katarzyny Enerlich, poeci z Działdowa, wiersz Borysa Bartfelda w przekładzie Krzysztofa Dariusza Szatrawskiego oraz dobre słowo Anity Romulewicz o komiksach pruskich i nie tylko.

W Galerii – babiniec, czyli prace Mai Baranowskiej. Prezentujemy również nowy cykl „Szkice z obrazkiem” Dariusza Szymanowskiego oraz galerię Centrum Polsko-Francuskiego Côtes d’Armor. Tradycyjnie całość zamyka recenzja muzyczna.

A na deser Baba Pruski, czyli Dziad Malowany, we własnej osobie.

Czytajcie, baby i dziady, jeśliście piśmienni!

Redakcja

Obroty nieba, obroty wyobraźni

M.S.: Skąd wziął się pomysł na tytuł Pana najnowszego tomu poezji *Obroty nieba* (Szczecin, Wydawnictwo Forma, 2010)?

K.B.: Dlatego, że mieszkamy w Olsztynie, a ja – mimo że na betonowym osiedlu – to jednak opodal lasu i jeziora. W Olsztynie przebywał wielki astronom Mikołaj Kopernik, który stworzył epokową rzecz *O obrotach ciał niebieskich*. W polskiej literaturze mamy wielkiego poetę Mirona Białoszewskiego, który napisał niezwykle *Obroty rzeczy*. Czemu nie *Obroty nieba*? – pomyślałem sobie nieskromnie, pisząc swoje króciutkie impresje haikupodobne na działce ogrodowej, na której mam starą altankę, róże, czarne porzeczeki oraz mech. Mech podobno mi obrodził, ale róże też są piękne i liczne. Tam sobie chodzę, trochę pracuję fizycznie, odpoczywam i tam znów powróciłem do medytacji poetyckiej. Kiedyś to była medytacja w ruchu, ale musiałem po latach zrezygnować z rowerowania na rowerzycy (żeńska odmiana roweru), czyli niezobowiązująca obserwacja nieba, chmur, ptaków, lasu, nastrojów, olśnień. Wróciłem ponownie do kontemplacji pół roku, kiedy ponowiłem pozamiejskie, samotnicze wędrówki. Więc od pewnego czasu dużo chodzę, łazikuję-kazikuję po okolicy, działkuję, nartuję, panteizuję. Nie mam ani samochodu – ani prawa jazdy zresztą. W rodzinie żartują sobie ze mnie, że to dlatego, że nie skonstruowano jeszcze jednoosobowego auta. Mam coś w sobie z egotysty, z otwartego na świat, ale miłującego samotność, indywidualisty. Ubiegłej zimy zacząłem biegać i chodzić na nartach po warmińskim lesie, co spowodowało, że znów odkryłem tajemnicę i bogactwo śniegu i w ogóle zimowego krajobrazu. Mamy to szczęście mieszkać w mieście niezwykle atrakcyjnie położonym: wokół lasy, jeziora, wzniesienia, ogromne niebo i niezwykle chmury. Mam tu swoje ulubione buki i sosny, kruki i kosy, gile, sikorki. Jak pamiętam, to zawsze lubiłem samotnie chodzić, zwiedzać, odczuwać małe miejsca i wielką przyrodę. Głównie tutejszą, regionalną, przybaltycką.

M.S.: W najnowszym tomie poezji odszedł Pan od wątku autobiograficznego i skupił się na przyrodzie. Czy to jest chwilowy oddech, czy jakiś nowy nurt?

K.B.: Nie wiem jeszcze, ale faktycznie mam umysł panteisty. Ale też i heretyka, i anarchisty. Wymykam się stereotypom masowego odczuwania i jakiegokolwiek poprawności. Także poetyckiej. Wolność stawiam na pierwszym miejscu. Twórczość na drugim. Ale chyba jedno wypływa z drugiego. Tego typu uczucia jedni ze światem wplatałem już wcześniej w wielkie poematy narracyjne. Rzeczywiście można powiedzieć, że moje wiersze są autobiograficzne, ale przede wszystkim to utwory o jedności świata, uchwyconej w różnorodności miejsc (stąd moja doświadczalna filozofia poetycka, zwana światowaniem, światologią). To jest geografia, egzystencja, historia i metafizyka razem (geopoetyka, czyli po-etyka doświadczalna). W ogóle uważam, że dzisiejsza poezja musi być autobiograficzna, żeby była bardziej autentyczna, niezależna, niepokorna. W poezji

Z poetą Kazimierzem Brakonieckim rozmawia Monika Szczygło z Polskiego Radia Olsztyn

bardzo trudno jest uniknąć podmiotowości. Oczywiście jest liryka maski, roli, ja osobiście za taką poezją nie przepadam. Proszę na przykład zwrócić uwagę na wiersze trzydziestolatków, publikowane w niedzielnym wydaniu „Gazety Wyborczej”. Pisane na jedną modłę, sztampe. Właściwie autor nie jest potrzebny i jest wymienialny, a styl (kombinowany chaotycyzm) przewidywalny, sztuczny, wysilony. Tak silna jest presja mody literackiej. Ja jestem za indywiduacją w życiu osobniczym i literackim (forma jako wcielenie podmiotowych treści).

W tych nowych wierszach podmiot jest nieco inny, mniej wyeksponowany. Mówi on i scala się z rzeczywistością większą, głębszą, która przejawia się na powierzchni, bo w szczegółach widzialnego, dostrzegalnego detalu. Można powiedzieć, że podmiot scala się z kosmosem, przyrodą, że jest czułym i uważnym obserwatorem tego, co go otacza. Mogę powiedzieć za znanym mi osobiście poetą i filozofem Kennethem Whitem: „Wszystko jest na zewnątrz” albo – tak jak w moim poemacie o Atlantyku – „Głębia jest na powierzchni/ Wszystko jest przejmująco ulotne”.

M.S.: Na ile Warmia jest dla Pana inspirującym miejscem i co w niej szczególnego?

K.B.: Wszystkie miejsca są szczególne i żadne nie jest szczególne. Chcę przez to powiedzieć, że, gdy nie ma człowieka i jego świadomości, nie ma kreacji realnego świata. Gdy tylko człowiek odbiera rzeczywistość w sposób świadomy, on ją przekształca, on wie, że jest w świecie, wewnątrz świata. W związku z tym obserwuję bliski świat, widzę moje małe miejsce, w tym wypadku Warmię, bo się tu urodziłem, a mogę żyć – powiem szczerze – i w Bretanii, i gdzie indziej. Polska i Warmia są dla mnie najpiękniejszymi miejscami-lokalizacjami dlatego, że ja jestem tutaj kreacyjnie nastawiony, w tym miejscu, i to miejsce przeżywam, tak jak Pani, czy ktoś inny, może to samo powiedzieć o tym lub innym sensotwórczym miejscu. Poezja jest kreacją sensu. Tego wysokiego i niskiego. Życiowego i tekstowego. Nie ma to nic wspólnego ani z nacjonalizmem, ani tym bardziej z regionalizmem. Chyba że z odmianą postmodernistycznej literatury regionalnej, w którą dobrze się bawiłem, pisząc prozy do *Historii bliskoźnacznych*.

Przyroda ma dostęp do człowieka, który potrafi i chce otworzyć się na świat, który dostrzega wielkość metafizycznej panoramy, niezależnej od nas przestrzeni zwierzęco-biologiczno-kosmicznej. Jesteśmy obcy przyrodzie, jesteśmy obojętni przyrodzie, jesteśmy wrogami przyrody, jesteśmy jej częścią, ale nigdy nie poznamy wytłumaczenia ani dla życia, ani dla istnienia Wszechświata. Podstawą takiej ekstazy i dialektyki uczestnictwa/odrzućenia w tym tragicznym dla nas spektaklu są te małe eksplodujące humorem, powagą, drobną obserwacją, zamyśleniem wiersze. Wszystkie krainy są piękne, wszędzie jest słońce i księżyc, wszędzie są drzewa. Ja nie potrzebuję się wzruszać i stać na Mont Blanc,

żeby krzyczeć, jakim jestem romantykiem. Mogę w to samo miejsce latami chodzić, pod ten sam kamień czy krzywe, ośnieżone drzewo, patrzeć na szarą, pustą równinę, na której stoi stary dom wiejski. Istotą tego doznania, które nazywam metafizyką doświadczalną, nie jest wyjątkowość nadmiaru, ale indywidualizacja miejsca oraz przecucie Pustki, która jest we wszystkim, co żyje. Ta pustka to inaczej Transcendencja – ponieważ nie pozbyłem się pojęcia transcendencji, nawet jeśli ona jest pusta. Ponieważ widzialność spełnia się tu i teraz w tych momentach, w których rozpoznajemy się jako wolne istnienia metafizyczne. Co nie znaczy, że dzielę świat na rzeczy prawdziwe, idealne, platońskie oraz na te gorsze, przemijające, nietrwałe, ziemskie. Wręcz przeciwnie. Jestem antyplatoński, antykartezjański i antykantowski w tym rozumieniu jedni rzeczywistości. Jest tylko jedna rzeczywistość, ta, w której żyjemy. I tylko w tej znajdujemy nieskończoność. A nieskończoność nie mierzy się latami świetlnymi, lecz stanami świadomości i jakością czynów. Nieskończoność, wieczność to przejawy żywej świadomości, a nie obiektywne światy po śmierci.

Cały czas musimy kształtować siebie i kształtować świat, uznając niezależność od nas natury: ja, ty, my, świat, kosmos. Człowiek żyje w środku swojego małego świata, ale musi wiedzieć, że nie jest najważniejszy. Kosmos był, jest i będzie. Nigdy nie został stworzony i nigdy jako całość nie zniknie. Jest nieustanną metamorfozą, a nie czasem przestrzeni, pędzącej w przód. Nigdy nie zostanie poznany. I lepiej żeby tak było. Człowiek ma prawo i do śmierci, i do zniknięcia. Życie na nas się nie kończy. Człowiek nie jest punktem Omega wszechświata. To Wszechświat jest swoim celem. Człowiek nie wnosi celu do tej nieustannie podlegającej zmianie przyrodzie (gdzie śmierć jest etapem biologiczno-chemicznej zmiany żywiołów), ale stwarza tylko i aż egzystencjalny sens i to kreuje jego wielkość, czyli samoistną i wolną kulturę. Praca w kulturze to stwarzanie osoby, działającej w materii najważniejszej: w umyśle, który trzeba tak nastroić emocjonalnie etycznie, aby żyć godnie, odważnie, odpowiedzialnie. Poezja więc należy do po-etyki życia, a nie do estetyki życia.

M.S.: Minęło 30 lat od ukazania się debiutanckiego tomu Pana poezji „Zrosty” i 35 lat od pierwszej publikacji prasowej. Proszę powiedzieć, czy tworzenie jest ciągle dla Pana tym samym?

K.B.: Wszystko się zmienia i pozostaje to samo. Znam swoje miejsce w życiu i na ziemi, nadal się rozwijam, mam swoje wzloty i upadki, nadal dysponuję dużą skalą percepcji świata, od filozoficznej po zmysłową. Natura obdarzyła mnie wrażliwością na rzeczywistość polityczno-społeczną i metafizyczno-przyrodniczą. W różnych okresach swego życia różnie reagowałem. Moim problemem na początku była zbyt wielka introspekcja, metaforyzacja, solipsyzm. Z tych wad wyzwoliła mnie trauma lat 80. Zwróciłem się do tematyki rodzinnej, historiozoficznej, regionalnej. Chciałem opisać wiek



XX oczami ludzi-świadków. W poezji to niełatwe zadanie. Byłem poetyckim reportażystą, eseistą, kronikarzem. Ale nie czystym lirycznym. Może teraz nadszedł czas powrotu do liryki? Do krótszych form? Jednak od początku stosowałem i poemat, i krótki wiersz. Więc może stale piszę jedną księgę, jeden wiersz, jedną moją rodzinno-narodowo-metafizyczną biblię środkowo-wschodniego Europejczyka? Jestem obsesjonatem, ekstatykiem, indywidualistą. Zawsze piszę pod wpływem inspiracji, natchnienia, emocji. Nawet jeśli jest to esej lub jakaś opowieść. Nie jestem więc literatem, a raczej poetą z bożej łaski.

Jeżeli chodzi o światopogląd praktyczny, to wychodzę poza wiarę i niewiarę, poza optymizm i pesymizm. Tworzę zupełnie inną filozofię. To filozofia tragicznej wolności, a więc jakoś tam i pozytywna. Większość poezji światowej odnosi się do dialektycznej filozofii poetyckiej Heraklita, która i mnie urzekła. To poeta bardzo modny, ale i rzeczywiście odpowiedni do naszych dramatycznych czasów, które rozpoczęły się w 1914 roku, a nie zakończyły wcale – ani w 1990 lub w 2001. W ogóle greccy filozofowie nie są do przekroczenia. Dla mnie to niesamowity dowód na mądrość intuicji, na wielkość wyobraźni w domenie nauki (a więc i literatury).

Co do mnie samego to cieszę się, że jeszcze jestem nadal człowiekiem szczerym w życiu i poezji, że jestem jeszcze człowiekiem wrażliwym, że reaguję na rzeczywistość i że jeszcze mam ten talent poetycki, który ocalił i wzbogacił moje życie, nauczył szacunku dla rzeczywistości konkretnej, a którego nie zmarnowałem, bo to jest coś najgorszego – zmarnowanie powołania (czy do poezji, czy do ogrodnictwa) bez względu na to, czy jest on ogromny, czy nieduży. Wielkość polega na uświadomieniu sobie, że talent ma służyć wartościom, wspomagającym autentyczne życie: wolne, świadome, własne, ale i zobowiązujące do pewnej wielkości i czystości wewnętrznej. Poezja wykracza poza literaturę. Nie jest tylko literą, czystą sztuką dla gry i picu.

Praca nad talentem, nie tyle same napisane już wiersze, ile te doświadczenia, związane z pisaniem i przeżywaniem świata, które w moim przypadku miały znamiona doznań mistycznych, taką pracę najwyższej sobie cenię. I dlatego pisanie jest dla mnie formą pozna-

nia, doświadczenia wewnętrznego, połączeniem tego, co jest na zewnątrz i wewnątrz, a nie jest tylko literaturą. Sama literatura, powiem szczerze, mnie nie interesuje. Poezja to jest rodzaj wolnej religii bez Boga, coś jak wcielenie ziemskiej transcendencji, która pełna jest nieskończonego pragnienia, a zderza się z ograniczeniem losu. Kiedyś nie spodziewałem się, że będę dużo pisał i być może za jakiś czas też nie będę w ogóle pisał, bo już tak dużo pisanie nie potrzebuję. W tej chwili staję się znów tak jak kiedyś ascetą. Już nie muszę wielkich poematów pisać, raczej coś bardziej sentencjonalno-medytacyjnego. W tym wszystkim jestem człowiekiem szczęśliwym. Jestem człowiekiem spełnionym. A to dlatego, że znam swoje miejsce i wiem, kim byłem i że nie spodziewałem się, że tak rozwinięty dany mi talent, który jest, jaki jest, ale najważniejsze, że dzięki niemu doświadczyłem wielkich przeżyć dobrych i złych, z którymi mogłem przejść autentyczną drogę życia.

M.S.: W jednym z wywiadów powiedział Pan, że celem Pana poezji było wypełnianie pewnej misji. Misją tą była pamięć o ludziach, o miejscach, o regionie. Proszę powiedzieć, czy ta misja została już wypełniona?

K.B.: W pewnym sensie została już wypełniona, ponieważ napisałem ponad 20 tomików wierszy. I nie tylko. Jeżeli chodzi o wypełnienie pamięci rodzinnej, już mam to za sobą. Było dla mnie bardzo ważnym opisać ludzi, których znałem, którzy umarli dawno lub niedawno, i czułem ich głosy w sobie. Wypisywałem głosy ludzi, których nosiłem. Niektórzy należeli do mojej rodziny, a niektórych tylko spotkałem na swojej drodze. Dla mnie było to ważne. Miejsce przypadkowe na przypadkowej drodze, ale mówi się, że nie ma przypadków, przypadek jest koniecznością. W związku z tym Warmia, Mazury, Olsztyn, to wszystko, co jest wokół nas, co mnie jeszcze jakoś inspiruje, to wszystko, powiadam, należy już do domeny kosmicznej, a nie lokalnej. Interesuje mnie poeta jako kosmograf, czyli już nie tyle historyczne odnotowanie tego czy innego przypadku lub biografii, tylko kosmiczne odczucie miejsca. Odczucie pełni i pustki istnienia. Przynajmniej w tej chwili.

Olsztyn, jesień 2010



Artystka Iwona Bojńska-Walendzik

1
Śnieg
jak biały sen

którego nie musisz się bać
ani rozumieć
choć jest proroczy
bo mówi nim wstydliwie niebo

Śnieg jak kosmiczny sen
wysypywany z czarnej dziury
przez przezroczysty czas

Kiedy go widzisz
jest już biały i senny
ale to krew kosmosu
eksplodująca lodem początku

2
Śnieg
w którym chciałbyś umrzeć
albo do dzieciństwa kosmosu powrócić
jako pierwszy znak niewinności

Pierwszy śnieg
na skaleczonej skórze życia
który świata nie zaleczy
ani nie obróci w zamieć wiary

śnieg pierwsza śmierć

3
Śnieg
na polnych kamieniach
które schroniły się przed przestrzenią
na bezbronnym polu

Śnieg
nie wnika do rdzenia kamieni
daje im maskę i opór
skrywa wrażliwe wnętrza

4
Śnieg
na rozłuszczonym gawronie
jaka to czarna iluzja
biała krotchwila
Gawron
iluzję anielstwa dziobem zdejmując
znoszonej czerni przywraca grozę

5
Śnieg
na przewróconej brzozie
jakby wyrósł od wewnątrz
zimową korą

Płoszy się na mój widok
i przebiera płatkami
w zimnym zakłopotaniu

6
Śnieg
wokół niezamarzającego źródła
szybkie ptasie tropy
które prowadzą do obłoków
skąd słychać gwizdy trele ćwierkania
kiedy zaczyna sypać stamtąd śnieg
z otwartymi skrzydłami

7
Śnieg
na kudłatym psie
bo też chce być tym psem
i biegać wilgotnym nosem przy ziemi
z czujnymi nozdrzami mrozu
z ogonem zamieci przy białym kretowisku pogody

8
Śnieg
i las
który teraz nabiera czaru
choć stopy mu drętwieją
biały odludek

Śnieg
i las
wpatrzeni w ścianę niebios
które ktoś w hałasie mrozu otwiera
nad ojczyzną przestrzenią
ścieląc na nocnym niebie świecące gniazdo



Prezentowane utwory pochodzą z tomu: *Obroty nieba*, Szczecin,
Wydawnictwo Forma ; Stowarzyszenie Oficyna, 2010.

**Borys Bartfeld – Борис Бартфельд**

rosyjski poeta, znawca historii Prus i królewieckiego Uniwersytetu Albertyny oraz twórczości E.T.A. Hoffmanna, założyciel i przewodniczący rosyjskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Kanta, członek kaliningradzkiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Rosyjskich. Absolwent Wydziału Matematyczno-Fizycznego Państwowego Uniwersytetu Kaliningradzkiego, student prof. Kazimierza Ławrynowicza, naukowiec, działacz polskiej mniejszości w Kaliningradzie, znawcy historii Królewca i Prus Wschodnich.

Prezentujemy wiersz autora w przekładzie **Krzysztofa Dariusza Szatraskiego**

Ojciec

Malarzowi Linasowi Jankusowi,
synowi zasłużonego nauczyciela¹

W starym domu
Z czerwonej cegły
Na peryferiach Priekulė
Nad kanałem Wilhelma²
Po nocach
Wciąż dźwięczą głosy
Setek wiejskich dzieci
Prusko-litewskiego
Pomorza.
Wchodzą powoli
Do wielkiej wspólnej klasy,
A sto lat temu
Wbiegali wesołą gromadą,
Hałaśliwie zajmując rząd za rządem,
Teraz tkwią przy wejściu
Smutną, szarą ciżbą,
I nie mogą się zdobyć, aby przejść do ławek,
Gdzie miejsc wyraźnie mniej,
Niż przybyłych
Z okolicznych i dalszych cmentarzy,
Poległych w morzach
Zaginionych bez wieści
W bezcelowych wojennych przemarszach.
Czekają na nauczyciela.
I widzę,
Wchodzi ojciec,
W rękach, jak zawsze
Dziennik klasowy i wskaźnik.
Wszyscy przechodzą naprzód
Zgodnie siadają
I słyszę,
Stukot pulpitów ich ławek,
Smer stron
I szept, że tym razem
Nauczyciel opowie,

Jak mogą uniknąć nieszczęścia
Albo przynajmniej zostać
Wśród żywych i doczekać wnucząt.

Ojciec

Stoi przy tablicy za stołem
Mówi i obraca koła
Maszyny elektrostatycznej³,
Jakby próbował cofnąć
Żarna nieuniknionego losu
Zdradziecko mierzącego w plecy.
W półmroku
Błyski źrenic
Oświetlają opalone twarze⁴
I grube dłonie
Rybaków i chłopów,
Staruszków i schludnych staruszek
I tych, którym się nie udało
Przekroczyć nawet trzydziestki.
Od trzasku wyładowań
Budzę się
Ze ściśniętym gardłem
W pracowni Linasa Jankusa
Wśród farb,
Obrazów i szkieł.
Ostro pachnie ozonem,
Świta
Za firankami
Z grubego białego lnu,
Topnieje
Smutny litewski pejzaż.
Nie zacząwszy się, zima odchodzi.
Za oknem nowe stulecie,
Czarny pies długo szczeka
Za odchodzącymi w stronę zatoki cieniami,
Razem z nimi odchodzi
Ojciec.

KOMENTARZ:

¹ 1 lutego 2008 r. w Szyłucie odbyła się prezentacja albumu obrazów nadzwyczajnego malarza Linasa Jankusa. Zebrał się wielbiciel twórczości malarza, wypowiedziano wiele miłych słów i życzeń pod adresem artysty. Po tym zjedliśmy kolację i nocowaliśmy w domu Linasa, który mieścił się w małym budynku starej wiejskiej szkoły podstawowej. Tu pracował i żył ojciec malarza, znany nauczyciel, który całe życie przepracował w priekulskim kraju, za wyjątkiem siedmiu lat, kiedy niemiecko-faszystowskie władze zesłały go za odmowę przyjęcia niemieckiego obywatelstwa. Imię Linas oznacza „len”.

² Kanał Wilhelma to prosty jak strzała żeglowny kanał, prowadzący do Zalewu Kurskiego, zbudowany pod koniec XIX w. i nazwany na cześć cesarza Wilhelma I. Kanał ma szczególne znaczenie dla Linasa, który jest doświadczonym kapitanem jachtowym.

³ Podczas pisania tekstu na obraz ojca Linasa niespodziewanie nałożyły się wspomnienia o moim ojcu, który także całe życie przepracował w wiejskiej szkole w obwodzie Kaliningradzkim, gdzie uczył fizyki, demonstrując doświadczenia z błyskawicami, przeskakującymi między kulami maszyny elektrostatycznej. Podczas kolacji Linas dostał starą grubą książkę z tekstami psalmów w litewskim języku, wydaną w Priekulė w 1896 r. Na chybił trafił otworzyłem ją i natychmiast na czternastej stronie natknąłem się na nazwę mojej rodzinnej wsi Triempien (Nowostrojewo). W tym, jak to się wydarzyło i jak mi się udało przypadkowo wyłowić tę nazwę z ogromnego tekstu w litewskim języku, napisanego gotycką czcionką, było coś mistycznego. Okazało się, że wśród tłumaczy zawartych w tej książce tekstów psalmów na język litewski był pastor z kościoła w Triempien, o którym jest mowa w tekście *Spotkanie w Klajpedzie*.

⁴ Na równi z pejzażami Linas maluje nadzwyczajne portrety. W charakterze modeli służą okoliczni rybacy i chłopcy o niezwykle barwnej powierzchowności. Kiedyś uczyli się u jego ojca. Ich wielkie portrety wiszą w warsztacie malarza, w pomieszczeniu, w którym wcześniej była szkolna klasa.



Katarzyna Enerlich

Zaklinanie nieobyczajowe

(część 3)

Zabolało dopiero w pociągu. Tak bardzo, że płakałam w zasłonę, brudną, pachnącą wilgocią i letnim kurzem. Do domu dotarłam na drugi dzień, popękana jak lustro, z usuwającym się spod stóp fundamentem naszego życia, w które tak wierzyłam.

Zaledwie dwie godziny go pakowałam, z przerwami na koniak i tzy. Kiedy dotarł do domu, przestraszony i blady, pozostawiając Gabriele i całe nasze nauczycielskie towarzystwo w Krynicy, jego rzeczy stały zebrane w czarne worki, jak na śmietnik. Kupiłam je metodycznie, wracając z dworca, bo wiedziałam, że w sześćdziesięciolitrowe, jakich używaliśmy, wszystko nie wejdzie. Zimowe kurtki i garnitury potrzebują więcej miejsca.

Wyrzuciłam go z domu i życia. Nie mogłabym już być z nim w jakimkolwiek sposób. Nie wiedziałam, dokąd zaprowadziły go kroki po schodach, gdy taszczył te swoje worki. Wracał po nie kilka razy, nic nie mówiąc, bo mu tego zabroniłam. Kategorycznie. Bałam się tylko roku szkolnego, powrotu do szkoły, tego ciągłego ocierania się o niego w pokoju nauczycielskim i tego, że kiedyś będę musiała się do niego odezwać, a tego przecież nie chciałam!

Nasi wspólni znajomi w końcu dowiedzieli się, co zaszło w hotelowym pokoju. Nie wiem skąd, bo ja skrywałam to dzielnie, wstydząc się wręcz tego, co widziałam, więc może to on lub Gabriela? Wiedziałam, że zamieszkał u niej i jej matki, w willi niedaleko centrum. Jakoś zniosłam ten pierwszy rok szkolny obok niego, parząc, jak razem przychodzą do pracy i wychodzą z niej, jeśli plan był akurat tak ułożony. Nie rozmawiałam z moim mężem, nie chcąc wiedzieć, dlaczego ją wybrał i dlaczego podzielił się z nią tamtym dreszczem, a sąd orzekł rozwód akurat w dniu, kiedy dostałam nową pracę w wydawnictwie z nowoczesną drukarnią w jednym, które w naszym mieście powstało, zmniejszając tym samym znacznie poziom bezrobocia.

Już wtedy docierało do mnie powoli to, że życie pisze czasem niebanalne i zaskakujące scenariusze i że wcale nie trzeba się zarzekać niczego, bo może się wydarzyć coś, co rozgoni spokojne obłoczki i nadmucha życiowe stratocumulusy.

Miałam wtedy trzydzieści dwa lata i zostałam sama w czterech ścianach mieszkania, i z mocnym postanowieniem, że nigdy z żadnym mężczyzną się nie spotkam w moim osieroconym łóżku i nigdy żadnemu nie uwierzę. Nowa praca w drukarni pochłonęła mnie

Minipowieść w odcinkach

całkowicie, przez kolejne lata dostarczając mi spokoju i pewności finansowej na wyższym, niż szkoła, poziomie. Tęskniłam jednak do niej, uczniowie chyba też, bo gdy powstał portal Nasza Klasa, otrzymałam masę zaproszeń od wyrośniętych już nastolatków, a niektórzy z nich fotografowali się z małymi dziećmi na rękach, pisząc o nich: „mój skarbek”, „moja maleńka”. Te zdjęcia mówiły mi o upływającym czasie, moim niespełnionym macierzyństwie i braku nadziei na nie, o żalu, że tak się temu życiu poddałam, że nie poszukałam innego, że postawiłam na złego konia w wyścigach. Jeszcze bardziej zasklepiłam się w swoim życiu jak w muszelce, nie dopuszczając nic z zewnątrz, żadnych nowych przyjaciół, żadnych spotkań towarzyskich i planów, które mogłyby zmienić monotonię mojej codzienności.

W tym czasie w związku Gabrieli i Antoniego pojawiły się jakieś kryzysy, o których łaskawie donosiły mi koleżanki, bo w miasteczku wszyscy wiedzieli wszystko. Kryzys okazał się nie do pokonania i Antoni wyprowadził się od pięknej Gabrieli, wynajął mieszkanie na jednej z bocznych ulic, w ładnym miejscu obok parku, z którego tylko krok na rzekę Bug, i wiódł życie samotnika, a na czole zrobiła mu się taka pionowa kreska, której nigdy wcześniej nie miał, mówiąca chyba o kłopotach i zmartwieniach. Widywałam go czasem w tym parku, gdy przechodziłam obok do sklepu, czy na pocztę, i chciałam pooddychać świeżym powietrzem i zielenią, nigdy jednak do niego nie podchodziłam, w sercu czując już tylko głuchą pustkę i chyba jeszcze coś... To była nieumiejętność rozmowy z człowiekiem, który kiedyś był całym moim światem.

Trzydzieste ósme urodziny, znów spędzone samotnie, wprawiły mnie w dziwnie melancholijny nastrój. Zmienił go mój szef, pan Wiesiek, który swoją propozycją sprawił, że melancholia przysła niczym mydlana bańka, a w jej miejsce pojawiło się ogromne zdziwienie i niepokój. Otóż szef poinformował mnie, że otworzył filię swego wydawnictwa w samej stolicy i że potrzebuje mnie jako osoby, która przez miesiąc poobserwuje pracę w wydawnictwie i drukarni, podszkoli nowych pracowników i podpowie, którzy z nich się nadają, a którzy nie. Miałam na cały miesiąc przeprowadzić się do Warszawy, tam zamieszkać i żyć, wśród obcych mi ulic i zapachów wielkiego miasta, po czym wrócić do miasteczka, albo, jeśli będę chciała, pozostać tam, może na kierowniczym stanowisku? Jasne, że nie będę chciała do dużego miasta, za nic w świecie!

cdn.



Anna Rau

Biesiada werbalna w tomik ujęta

Jest takie miejsce, w którym słowo
Zwykle skrywane gdzieś w szufladach
Na białe kartki się zakrada
I z pisma staje się wnet mową (...).

Renata Samoraj, *Burkackie biesiady*

Od 1997 r. z inicjatywy poetki i kierowniczk Biblioteki Gminnej w Burkacie, Bogumiły Stachowiak, na terenie gminy Działdowo organizowane są niecodzienne spotkania wrażliwych i utalentowanych ludzi – Biesiady Poetyckie. To wieloletnie, wręcz tradycyjne już, działdowskie zjawisko kulturalne stanowi rodzaj fenomenu. W ten sposób spotykają się nie tylko poeci, ale i studenci Uniwersytetu Trzeciego Wieku, miejscowi organizatorzy i animatorzy kultury, przedstawiciele lokalnego samorządu oraz całkiem „zwyczajni”, zainteresowani literaturą mieszkańcy wsi. Na kolejne Biesiady bywają zapraszani również literaci-goście z innych województw. Te regularne i owocne spotkania poetyckie konkretyzują się nie tylko w postaci udanych więzi międzyludzkich – częstokroć o bardzo szerokim zasięgu – czy wzajemnej inspiracji twórców, ale i w publikacji drugiego już zbioru wierszy¹ działdowskiego środowiska literackiego. W 2010 r. – w 60-lecie Gminnej Biblioteki Publicznej w Burkacie, ukazał się ...*Świat Marzeń Świat Rzeczywistości...* – *Działdowski Almanach Poezji*. Tytuł ten stawia w głębi kontekstu niewypowiedziane pytanie, zastanawia i porusza – a każdy czytelnik zinterpretuje go w odrębny, właściwy swej naturze sposób. Czy tomik ukazuje zderzenie konkretności i myśli, planów i realizacji, woli i tego, co od niej niezależne? A może almanach scala te dwa poziomy bytu – godzi i jednoczy to, co zdawałoby się, niemożliwe do pogodzenia, choć współlistnieje i współlistnieć będzie?

przed lustrem
perły powlekane jedwabiem
w trzewikach z cielejcej skóry
odslaniają
łagodną asymetrię kości policzkowych skorygowanych różem
za lustrem
sok z cytryny
z kostką lodu

(Wiktor Golubski, *Lustro na dwie strony*)

Prezentowane w almanachu utwory zebrano według jednoznacznego i klasycznego, prostego klucza: „Znani”, „Debiuty” oraz „Wspomnienia” – co przypomina tak naturalny porządek rzeczy „teraźniejszość-przyszłość-przeszłość”. Ostatnia z części ma charakter wyłącznie ikonograficzny – to zdjęcia, dokumentujące kolejne Biesiady Literackie: w Ruszkowie, Burkacie, Kurkach, Turzy Wielkiej, Działdowie, Klęczkowie i Filicach. Jedną z tych fotografii jest naprawdę wyjątkowa – przedstawia bowiem mieszkanie niezapomnianego twórcy z kręgu środowiska plastycznego Warmii i Mazur – Hieronima Skurpskiego. Zdjęcie to nie jest bynajmniej przypadkowe: almanach ilustruje dziewiętnaście rysunków Mistrza. Są oszczędne i proste, a przez to wielowymiarowe, chciałoby się rzec – stanowią istotę dalekowschodniego zen, a przecież niewątpliwie i w tak oczywisty sposób są warmińsko-mazurskie. Rysunki na kartach almanachu ukazują nietrwały świat roślinności, malowniczość regionalnych pejzaży i tak charakterystyczne w swej linii dla Skurpskiego postacie kobiet o prostych profilach. Część z tych sylwetek stanowi uosobienie snów i marzeń – znów, tym razem w ilustracjach almanachu, spłót dwóch płaszczyzn: rzeczywistości i tego, co realne a nieuchwytnie... Poruszające wrażliwość czytelnika, ponadczasowe i symboliczne, a zarazem dosłowne szkice podkreślają kolejne utwory poetyckie, choć oczywiście nie nawiązują do nich w dosłowny sposób. Tematyka kolejnych utworów również jest ponadczasowa i symboliczna zarazem, uniwersalna i jednostkowa. Część poematów jak soczewka skupia wzrok czytelnika na zwyczajnym pięknie i pospolitej niezwykłości miejscowej przyrody. Wiele z utworów stanowi tzw. lirykę wyznania: to głębokie choć ogólnoludzkie wyrazy tęsknoty, miłości, porażki, strachu, niepewności, załamania i nadziei. Jak to określiła w swym wierszu Anna Czubał-Struzik: kolejne poematy to „skrawki duszy zakraplane na papier”. Kilka z nich można zaliczyć do nurtu poezji kobiecej – ze względu na wyjątkową liryczność i wyraz ściśle związanych z kobiecością przeżyć.

Ciche skrzypnięcie
zamykanych drzwi
Osiągnęłam swój cel
Cieszę się
Kwiaty pokryte rosą
stawiam w wazonie
Cichy pocałunek
Pierwszą gwiazdę
witamy we dwoje.

(Halina Gamdzyk-Kalińska, *Cichy pocałunek*)



Nieliczne utwory są adresowane do konkretnych osób: nieżyjącego brata, do ukochanego, żony, babci, matki – część zaś stanowi refleksję filozoficzną lub modlitwę. Wszystkie łączy jedno: Nastroj...

Niestrzeżoną nocą zawładnęły wspomnienia
Fioletowe, czerwone, żółte, zielone
jak otwarte ramiona
Wschodów słońca
i oddechów brzoź (...).

(Zenona Cieślak-Szymanik, *Nastroj*)

Opublikowane w almanachu utwory to pokłosie Biesiad Literackich ostatnich kilku lat i zwerbalizowany obraz wrażliwości czterdziestu sześciu osób. Tomik zawiera wiersze zarówno działdowskich stałych bywalców poetyckich, jak i debiutantów oraz twórców z innych miast Polski – Warszawy, Ciechanowa, Wrocławia, a nawet Lewina Kłodzkiego. W ten sposób *Działdowski Almanach Poezji* zmienia się niejako w Almanach Ogólnopolski, podsumowujący pewien okres wspólnego przebywania, ale i – kto wie? – stanowiący punkt, od którego zaczyna się coś intrygująco nowego... To nie marzenie, ale papierowa i konkretna, szeleszcząca kartami w ręku czytelnika, rzeczywistość. A z drugiej strony – czym się różni rzeczywistość od marzenia i co było pierwsze? Reszta jest milczeniem, gdyż

W cieniu drzew ukrywa się
samotność
I usprawiedliwia się
Że wszystko było już powiedziane².

...Świat marzeń świat rzeczywistości..., Działdowo [etc.],
Urząd Gminy, 2010.

¹ Pierwszy zbiór wierszy to *Burkackie biesiadowanie tam gdzie gniazdo bocianie : almanach poezji ziemi działdowskiej*, [red. Rafał Tomasz], Działdowo-Ciechanów, 1998.

² Grażyna Lech, *Nieśmiałość*.

Stanisław Kęsik

Poranne studium człowieczeństwa

Gładzę policzek
Snem zwolniony
Z wykrzyknikiem róży
Pomiędzy lustrami.
Srebrne muchy
Siadają na szept
W kominie.
Wykręciłem głowice wczorajszych oczu
A czas taki zielony, że trudno uwierzyć
W jesienne fortepiany...
Gładzę policzek
Pod twoją pięść
Z której pestki zgryzionej przyjaźni
Na wiele, wiele dni się posypały.
Nie przepraszaj...
Szept spuchnie w kominie.
Gdy gładzę policzek
Srebrne muchy i lustra
Pozostają.

Barbara Czubaj-Struzik

spełniła się pełnia
spełniła się w pełni
wśród kropli srebrnych
księżycowej krwi
jedynym przez pełnię
popelnionym błędem
był topian
co w cieniu
jak żałobnik tkwił –
i tkwił tak
i płakał
i wychylał głowę
bo pragnął załatać
niespełniony czas
więc gdy chwil krople
spełniały się w pełni
on z blasków i srebra
ognik błędny tkął



wystawa fotografii Herlinde Koelbl
w Galerii Stary Ratusz

Zadomowieni w pisaniu

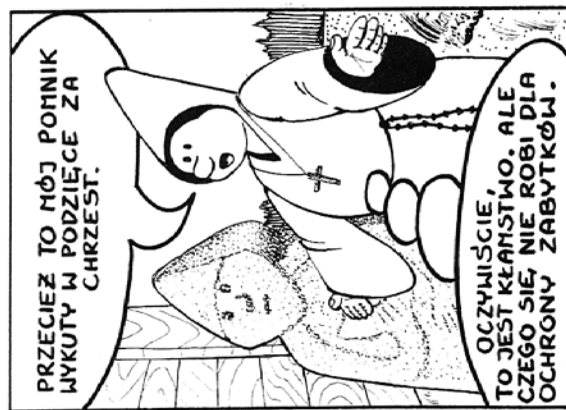
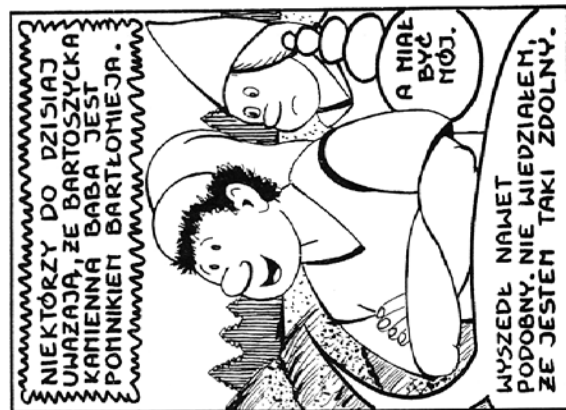


Bywalcy spotkań autorskich wiedzą, że niemal na każdym z nich padają pytania o źródła natchnienia, sposób organizacji pracy, rytm dnia pisarza. Dlaczego pisze, kiedy pisze, czym pisze, co robi, kiedy nie może pisać... – ciekawskich czytelników nie zadowala „goły” tekst literacki. Stąd niesłabnąca popularność biografii, wspomnień, stąd obecność na rynku wydawniczym książek z gatunku „powieść o powieści”. Okazuje się, że proces tworzenia jest równie interesujący, jak jego wynik.

Rzadko jednak nadarza się okazja, by podczas jednego wieczoru „przepytać” więcej niż jednego twórcę. Możliwość taką mieli odwiedzający Galerię Stary Ratusz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie, w której od 18 lutego do 3 marca 2011 r. prezentowano wystawę fotografii Herlinde Koelbl pt. *Zadomowieni w pisaniu*, przedstawiającą pisarzy niemieckojęzycznych i przestrzeń, w której tworzą. Ponad trzydzieści czarno-białych fotografii sprawiło, że atrium Starego Ratusza na dwa tygodnie zmieniło się w wielokrotne atelier, galerię portretów, uporządkowanych gabinetów, wypełnionych od podłogi po sufit biblioteczek, zagraconych pokoiów, ascetycznych izdebek „biednych poetów”, długich rzędów rękopisów i leżących wszędzie papierów. Uzupełnieniem wystawy były rozmowy, które Herlinde Koelbl przeprowadziła podczas licznych spotkań z prezentowanymi twórcami. Fotografie i rozmowy stworzyły razem wielowymiarowe portrety, dały możliwość osobistego niemal kontaktu z pisarzami, poznania ich codziennych przyzwyczajeń, ich radości i utrapień, ich nadziei i lęków.

Wystawa *Zadomowieni w pisaniu* prezentowała dwunastu twórców: Thomasa Brussiga, Hansa Magnusa Enzensbergera, Julię Franck, Güntera Grassa, Dursa Grünbeina, Petera Härlinga, Elfriede Jelinek, Katję Lange-Müller, Hertę Müller, Ingo Schulze, Martina Walsera, Christę Wolf. Fotografie Herlinde Koelbl i rozmowy z pisarzami opublikowano w albumie *Schreiben! Autorenportraits* oraz w polskojęzycznym katalogu wystawy *Zadomowieni w pisaniu*, które wypożyczyć można w Bibliotece Niemieckiej w WBP w Olsztynie.

Sylvia Bialecka



Moda na paski

Anita Romulewicz

Dawno, dawno temu, nad brzegiem Bałtyku osiadł lud zwany Prusami. Znani byli z bursztynu i pogaństwa. Oddawali cześć piorunom i żabom. Cztili święte drzewa i żyli spokojnie, nie licząc zbrojnych napadów łupieskich na tereny Polski. Te to napady sprowadziły na nich prawdziwe nieszczęście. Albowiem w pierwszej połowie XIII wieku...

Tak oto zaczyna się pewna opowieść o początkach jednego z warmińskich miast, leżących na terenie historycznej Barcji – Bartoszyce. Historia tym ciekawsza, że ujęta w formę *comic strip* (z ang. „humorystyczny pasek”), której autor – Krzysztof Bujnowski – kreśli lokalną legendę stylem lekkim i zabawnym, rzetelnie podchodząc do tematu. I choć rysunek jest może zbyt mało barwny jak na XXI wiek, bo zaledwie czarno-biały, to jasny przekaz i wrażenie przemyślanej całości niewątpliwie wciągają czytelnika w bieg wydarzeń, z których dowie się „Jak Prusowie z Krzyżakami wojowali”. Kusi też rekomendowany w ostatnim kadrze kolejny zeszyt o przygodach dzielnego wodza Prusów – Herkusa Monte. (Nie wydaje mi się jednak, aby powstał – choć może zabrakło mi determinacji w poszukiwaniach – podobnie jak i zapowiadany ponad dekadę temu komiks Józefa Burniewicza).

Więcej szczęścia do publikacji miały w ostatnich latach inne regionalne tematy, jak bitwa pod Grunwaldem, czy chociażby postać Mikołaja Kopernika. A to za sprawą swoistej mody na komiks, który ostatnimi czasy „awansował” do roli łącznika kulturowego z młodym pokoleniem jako forma przekazu na wskroś nowoczesna. Trochę to stereotypowe, gdyż od dawna wiadomo, że komiks ma swoich wiernych czytelników w każdym wieku. Poza tym zasada „mało słów, dużo obrazków” nie daje gwarancji sukcesu, szczególnie gdy zapomina się, jak wymagająca to sztuka. W komiksowym świecie, w którym słowo jest równie ważne, co obraz, skupienie się na jednym ze środków wyrazu, nie może wróżyć nic dobrego. A tak niestety zdarza się.

Nie brak jednak na Warmii i Mazurach autentycznych talentów rysowniczych. Zasłużoną sławą cieszy się Karol Kalinowski z Olsztyna, autor „pokreślonych” komiksów, w tym historii z Yoelem w roli głównej. Na uwagę zasługuje niewątpliwie piękna graficznie i intrygująca rzecz – „Łauma”, do której można zajrzeć na blogu KaeReLa http://lauma-krl.blogspot.com/2009/09/o-komiksie_3323.html. Określana jest jako „historia obyczajowa z elementami komediami, scenami fantastycznymi i chwilami prawdziwej grozy. A wszystko to głęboko zanurzone w jaćwieskich wierzeniach i legendach”.

Rozpoznawalne są także prace Jarosława Gacha, współautora m.in. trzech komiksów, wydanych w serii *Legenda Warmińska* (*Jak chłop tabędzia za żonę wziął, O królu i chłopcu w czepku urodzonym, Jak powstała wyspa Łalka na Jeziorze Łańskim*).

To rysownik doświadczony, który swoją pracą promuje nie tylko tradycję regionalną, ale także komiks jako obszar pełnowartościowej współczesnej sztuki ilustratorskiej. Podczas wystawy „Ilustracja PL 2010”, zorganizowanej w Galeria Sztuki BWA w Olsztynie, jego prace zaprezentowano wśród dzieł ponad stu artystów z Polski, wyznaczających nowe trendy w tej dziedzinie.

Niejako analogicznie do „warmińskich” prac Jarosława Gacha, w 2010 r. ukazał się „mazurski” komiks Przemka Kozaka – grafika ze Szczytna (m.in. autora projektów okładek niniejszego pisma). Zeszyt pt. *Abentory mazurskech pofejdokóf*, czyli *Przygody mazurskich włóczęgów*, wydany został również po angielsku. Inicjatywa ze wszech miar słuszną.

Pisząc o twórcach komiksów, nie można pominąć autorki „brakonów”, czyli Hanny Brakonieckiej, która od kilku lat publikuje swoje ilustracje na łamach gazet regionalnych. Charakterystycznymi rysunkami wpisuje się w klasyczny komiks prasowy, krótki w formie, żartobliwy, inteligentny. Niezwykle aktualne i zaskakująco osobiste budzą sympatię wobec autorki, obdarzonej dystansem do samej siebie.

Równie oszczędne w kształcie są komiksy, jakie prezentuje na jednej ze stron internetowych autor, kryjący się pod pseudonimem Baba Pruski (tak, tak – Pruski). Przygody bohatera, określanego mianem „nieposkromionego rębajły i hardego poganina, czczącego pradawnych bogów”, ujęte zostały w kilku krótkich odcinkach. Jak funkcjonuje współczesny komiks w formie elektronicznej, przekona się każdy, kto „zabłądzi” pod adres Baby (<http://www.facebook.com/pages/Baba-Pruski/122206381159773?sk=photos>).

Komiks, jak każda sztuka graficzna i literacka, pod wpływem swoich czasów ewoluuje. Wchodzi w nowe tematy, przełamuje tabu, przekracza granice sacrum, czasem wraca do tradycji. Najczęściej jest wyrazem nieposkromionej wyobraźni autora, który z pasją powołuje odmienne światy, także inspirowane otaczającą rzeczywistością. O komiksach w klimacie blokowskim mówi się w przypadku prac olsztyńskich autorów – Artura Rosy, Dominika Samulowskiego, Michała Lasoty, Marcina Gromke. Prace wielu innych można poznać podczas cyklicznego już konwentu komiksu, fantastyki i mangi, organizowanego w Olsztynie przez Stowarzyszenie Tratwa. To dobra okazja do poznania innych „komiksarzy”, choć – jak przyznają sami twórcy komiksów – to zaledwie szkoła warsztatu, „przystanek” na drodze do filmu rysunkowego czy grafiki komputerowej.

A swoją drogą, ciekawe, jak potoczyły się losy regionalnych laureatów¹ z ogólnopolskiego konkursu stacji Cartoon Network „Akcja Animacja” na najlepszy scenariusz filmu rysunkowego.

¹ Paulina Malinowska z Ilawy, Katarzyna Jurewicz ze Studzianki, Grzegorz Konopski z Elbląga

Dariusz Szymanowski

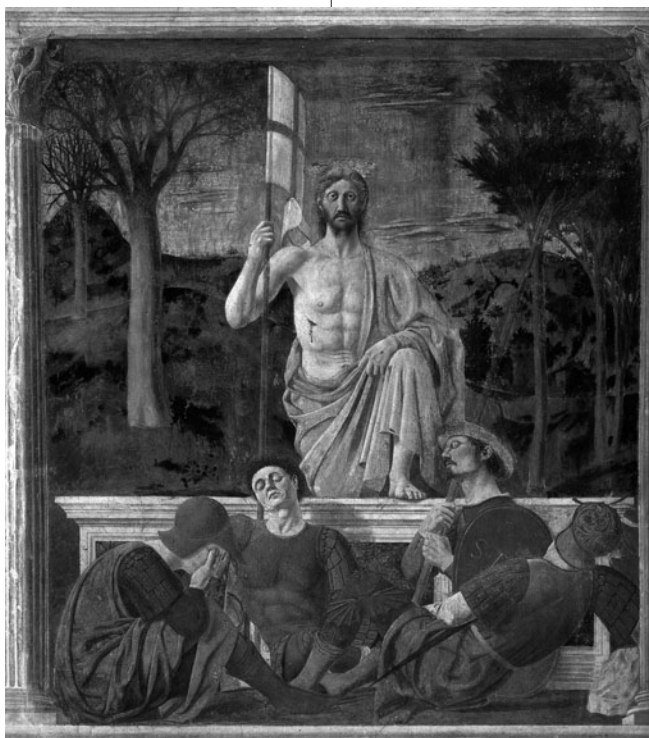
Piero albo istota rzeczy

Właściwie powinno się o nim mówić – Figlio della Città. To znaczy Syn Miasta. Sam siebie nazywał Pietro de Borgo, ale w gęstwinach słowników odnaleźć go można pod hasłem Piero della Francesca.

Borgo Sansepolcro, z którego pochodził, położone w sercu Apeninów, w samym centrum pagórkowatej doliny Tybru, która łączy cztery wielkie historyczne krainy Italii – Romanię, Marche, Umbrię i Toskanię – było miastem niewielkim, całym w czerwieniach dachówek. Nasz malarz urodził się w 24 lata po Stafano di Giovannim, znanym bardziej jako Sassetta, którego jedno z dzieł zdobi ołtarz we franciszkańskim kościele w Sansepolcro. Młody Piero na niedzielnej mszy bardziej niż płomienne kazanie proboszcza podziwiał obraz rzeźbionego Sassetty. Dzieło to było bowiem zręcznym połączeniem czternastowiecznej myśli sienneńskiej z nowatorskim traktowaniem przestrzeni, która według malarza miała być konsekwentnie rozwijającą się głębią. Perspektywa więc stała się jedną z głównych namiętności Piero – na tyle intensywną, że poświęcił jej traktat i zatytułował go „De Prospectiva Pingendi”. A wiele miejsca w swoim teoretycznym wywodzie pozostawił dla sztuki realistycznego przedstawiania przedmiotów w przestrzeni.

Ale Piero, najstarszy syn dość jak na owe czasy bogatego kupca skórzanego, w 1446 roku rozpoczął pracę nad swym bodaj najbardziej znanym dziełem, *Zmartwychwstaniem*. Po roku pracy fresk można już było oglądać we wnętrzu ratusza w jego rodzinnym mieście. Przedstawiał on silnego Chrystusa, który kierując się na północ, wychodzi z grobu. Owinięty w różową tunikę, królewską

– na pewno królewską – a zimne światło poranka modeluje jego ciało. Prawa dłoń dzierży chorągiew. Zmartwychpowstanie symbolizuje dwoistość natury. W tle uschnięte konary drzew i spalona ziemia – i to jest lewa strona obrazu. Z prawej miasto, ukryte wśród zielonych lasów. Ciała czterech żołnierzy, śpiących u grobu, nieludzko wtłoczone w ramy z doryckich kolumn, niczego się nie domyślają, nie przeczuwają dziejącego się cudu. Głowy dwóch z nich, kierują nasz wzrok na główną część sceny.



Fresk Piero, niewątpliwie inspirowany obrazem Andrei del Castagno, który do dzisiaj możemy zobaczyć w Cenacolo di San't Apollonia we Florencji, jest triumfem jasności nad cieniem, który według artysty powinien służyć jedynie do wydobywania chwały. Mówi się, że gdy Piero umierał, miał w oczach tę samą pewność, że wszystko w gruncie rzeczy jest możliwe.

Był malarzem szczegółu: lustrzanych odbić w złotych aureolach, tkaniny w wiklinowym koszu, trąbki pośród bitewnego chaosu. Kilka wieków później Blaise Pascal w swoich *Myślach* napisze: „(...) Ale jeśli chce oglądać inny cud, równie zdumiewający, niech zbada to, co zna najdrobniejszego. Niechaj roztocz ukaże mu w swoim maleńkim ciele części nieskończenie mniejsze, nogi ze stawami, żyły w tych nogach,

kwę w tych żyłach, soki w tej krwi, krople w tych sokach, wapory w tych kroplach; niech dzieląc jeszcze te ostatnie rzeczy wyczerpie swoje siły w tych obrażeniach i niech ostatni przedmiot, do którego zdoła dojść, stanie się przedmiotem naszej rozprawy; pomyśli może, że to jest ostateczna małość w przyrodzie”. I ta ostateczna małość w przyrodzie być może ukazała Piero istotę rzeczy.

Kazimierz Brakoniecki

Centrum Polsko-Francuskie Côtes d'Armor – Warmia i Mazury w Olsztynie albo Dom Bretanii na Warmii i Mazurach

Centrum Polsko-Francuskie Côtes d'Armor – Warmia i Mazury w Olsztynie działa od 1993 roku w ramach oficjalnej umowy o współpracy, zawartej pomiędzy województwem warmińsko-mazurskim w Polsce a bretońskim departamentem Côtes d'Armor we Francji. Centrum jest samorządową placówką kulturalno-oświatową podległą Departamentowi Kultury i Edukacji Urzędu Marszałkowskiego w Olsztynie, której zadania koncentrują się na regionalnej, polsko-francuskiej współpracy kulturalno-artystycznej oraz edukacyjno-szkolnej. Mniej oficjalna nazwa placówki to Dom Bretanii na Warmii i Mazurach, co oznacza, że tematyka małych ojczyzn (Warmii i Mazur oraz Bretanii) należy do priorytetów działalności instytucji. Centrum organizuje kursy języka francuskiego, ma największą w regionie bibliotekę książek w języku francuskim, czytelnię prasy, współpracuje z nauczycielami, szkołami, prowadzi działalność wydawniczą. Do mniej wyeksponowanej, ale przecież istotnej, należy działalność wystawiennicza (około ośmiu wystaw w roku w wyodrębnionej i dobrze przygotowanej technicznie salce o wielkości około 40 m kw.). Jej idea jest pokazywanie twórczości plastycznej i fotograficznej artystów z naszego regionu oraz Bretanii (ściślej Côtes d'Armor), popularyzacja miejscowego środowiska, promowanie wystaw o tematyce francuskiej artystów polskich, a także pokaz takich prezentacji wizualnych, których zasadą jest otwarta Europa i otwarcie na świat (dlatego m.in. dużo wystaw fotograficznych, w tym turystycznych). Realizuje się również wystawy oświatowe, poświęcone kulturze, literaturze i językowi francuskiemu. Centrum jest pomysłodawcą dużych, profesjonalnych wystaw przygotowanych przez samorządowych partnerów, np. Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie i odpowiednika w Bretanii (kilkakrotnie pokazy sztuki francuskiej w Olsztynie, Reszlu, Lidzbarku Warmińskim – oraz polskiej i regionalnej w Côtes d'Armor; organizacja wyjazdów artystów na plenery i wystawy). Centrum P-F pokazało pierwszą pełną wystawę sztuki bretońskiej artystów francuskich z zaprzyjaźnionego departamentu w 1996 roku w olsztyńskim BWA. Za nią poszły następne.

Podczas corocznie odbywanych Dni Frankofonii i Kultury Francuskiej (wiosną) oraz Dni Bretanii (jesienią) Centrum P-F stara się pokazać specjalnie przygotowane na ten czas ekspozycje plastyczne. I tak np. w 2009 roku była to wystawa czarno-białej fotografii artystycznej Joëla Belleca z Francji pt. „Filaments” oraz – również czarno-biała – wystawa fotografii Rogera Moizana „Bretania”. Obaj fotograficy zaliczani są do czołówki bretońskich artystów fotografików – jeden upodobał sobie przetwarzanie rzeczywistości, drugi jest jej dokumentalistą. Z innych wystaw z 2009 roku warto wymienić także, jak „Portrety i zdjęcia” Véronique Sezap z Quimperlé (Francja) czy „Proust odnaleziony” Ewy Kozłowskiej z Olecka, która sfotografowała Rumunię. W 2008 roku odbył się pokaz czarno-białych

fotografii wybrzeża Atlantyku autorstwa Claude'a Le Galla z Francji, wystawa grafiki Wiesława Bieńkuńskiego „Tuziemiec-Zaziemiec”, malarstwa na papierze André Joliveta (Francja), fotografii i malarstwa Zbigniewa Urbalewicza z Olsztyna „Bretania-wspomnienia i wizje” oraz fotografii pt. „Celtowie” Tomasza Raczyńskiego, który wcześniej pokazywał zdjęcia z Paryża. W 2007 roku zorganizowaliśmy m.in. oryginalną polsko-francuską wystawę oświatową, poświęconą Erichowi Mendelsohnowi, którą następnie wyeksponowano w kilku miejscach Olsztyna. Z wydarzeń 2010 roku warto wymienić zdjęcia francuskiego fotografa Francisca Goellera z cyklu „Południowa Warmia” (efekt pobytu studyjnego) oraz korespondencję artystyczną Zbigniewa Żebrackiego z Paryża (polski artysta zamieszkały we Francji od 1973 roku) pt. „Postscriptum”. Na początku 2011 roku otworzyliśmy ekspozycję malarstwa i rysunku pt. „Panorama warmińska” Marka Szczęsnego, artysty i wykładowcy Instytutu Sztuk Pięknych UWM w Olsztynie. Do najważniejszych wystaw dołącza się zaproszenia w formie folderów.

Już kilkakrotnie CPF organizowało wojewódzkie i miejskie konkursy fotograficzne i plastyczne o tematyce francuskiej i bretońskiej. Instytucja ściśle współdziała z liceum plastycznym i wydziałem sztuki olsztyńskiego uniwersytetu, np. nawiązując współpracę z partnerami francuskimi, organizując wyjazdy artystów do Bretanii na plenery (fotograficzne, malarskie, rzeźbiarskie, skorzystali z tego m.in. Miłosz Piotrowski, Ryszard Szmyt, Zbigniew Urbalewicz, Elwira Iwaszczyszyn, Tadeusz Brzeski). Wiosną 2011 olsztyńską plastykę w Bretanii reprezentować będzie Antoni Grzybek, zaproszony na studyjny pobyt do regionalnego centrum sztuki w dawnym opactwie Bon Repos.

Charakterystyczne, że z biegiem lat coraz częściej w galerii Centrum P-F można zobaczyć wystawy fotograficzne niż malarskie. Powody są czysto materialne, mają też wiele wspólnego z faktem, że instytucja współpracuje z samorządowymi placówkami kultury, które realizują większe przedsięwzięcia budżetowe i artystyczne (posiadają też większe sale wystawowe). Cała artystyczno-kulturalna działalność instytucji, w tym wystawiennicza, jest pomysłem autorskim Kazimierza Brakonieckiego, od września 1995 roku dyrektora placówki.

Centrum Polsko-Francuskie Côtes d'Armor
– Warmia i Mazury w Olsztynie
ul. Dąbrowszczaków 30, I p.
10-542 Olsztyn
tel. 48/ 89/527 63 73; 534 99 33
www.cpf.olsztyn.pl



Maja Baranowska

Tytuł, jaki artystka nadaje swym dziełom – *Wędrujące* – obrazuje atawistyczną podróż, niemożliwą do odbycia w pojedynkę czy w cieniu własnego wizerunku. Podróż nie odbywa się we wspomnieniach, w pamięci, ale rozwija się jak ruch, którego nie można zatrzymać przed świadomie obraną i konkretną metą. Wędrowanie jest ekwiwalentem szukania, udawania się w podróż w nadziei na odnalezienie jej końca. W pojedynkę czy z kimś jeszcze – nie ma znaczenia – jako że sam proces wymaga powtarzalności własnego jestestwa, tak przez spełnienie jak cierpienie; w ten sam sposób można scharakteryzować metodę graficzną, która zawiera próbę zniszczenia materii na rzecz zmaterializowania idei (albo jej powtarzalności) oraz konieczność nadawania numerów w celu udokumentowania, potwierdzenia przebytej drogi. Każdy pojedynczy „odcisk” jest odcinkiem przebytej drogi, a grupa postaci przedstawia rozwój, który obrazuje podróż, podążanie przez świat jak wędrowcy.

Każda postać, pomimo tego że znajduje się w bliskiej odległości od innych, zachowuje swoją autonomię; nawet jeśli postrzegana jest jak „kalka” pozostałych, zawsze różni się od nich napięciem i umiejscowieniem w przestrzeni. Obserwując symboliczny szlak, niewielu jest w stanie uchwycić jego „korzenie”. Ktoś mógłby odnaleźć w pracach dziwne stworzenia, które zamieszkują nasze sumienia. Pomimo uważnego analizowania szczegółów, w które „ubrane” są postaci, nie można otrzymać absolutnego potwierdzenia – przynajmniej wizualnego – ich jakości technicznej; i tak zastanawiamy się, czy dzieło zaliczyć należy do grafiki, malarstwa, czy rzeźby z terakoty. Trudność wynika ze sposobu, w jaki artystka „pracuje” nad płytą oraz z plastycznością objętościową postaci. Umiejscowione na naturalnym, jaki stanowi papier, lub mozołnie „zagospodarowanym” i pokolorowanym tle postaci nie zmieniają swej potężnej, posągowej statury. I tym bardziej wchłaniane są przez aurę ciszy, z której biorą swój początek: idea „materialna” grafiki, postrzegana jedynie jako czyste doświadczenie techniczne ulatnia się i zmienia w połączenie wielu elementów, z których światło niewątpliwie dominuje.

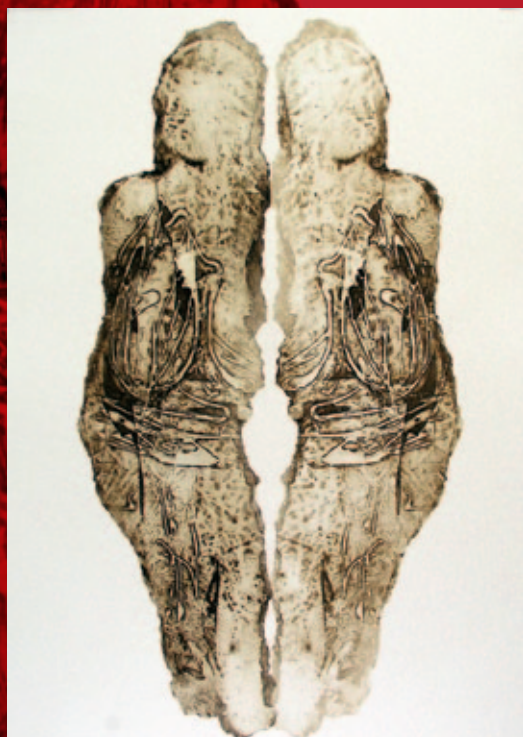
Nagie postaci, czy owite w nieokreślone okrycia, emanują nieokreślonym pięknem. I być może w tym właśnie tkwi wielkość dzieła Baranowskiej, w umiejętności pokazania widzowi ciemnej strony piękna, strony, która choć jest zakorzeniona głęboko w naszej świadomości, to budzi nasz lęk, ale też bez której nie umiemy się obejść.

Eugenio Gianni, krytyk sztuki

MAJA BARANOWSKA

Mieszka i pracuje w Olsztynie. Studia na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. Dyplom z wyróżnieniem w Pracowni Serigrafii prof. Bohdana Przybylińskiego w 1989 roku. Uprawia grafikę warsztatową. Obecnie kierownik Pracowni Grafiki Warsztatowej Wydziału Sztuki UWM w Olsztynie. Autorka wystaw indywidualnych, m.in.: Dwór Artusa w Toruniu, BWA w Olsztynie, Galeria 526 w Łodzi. Bierze udział we wszystkich pokazach środowiskowych oraz w konkursach i wystawach zbiorowych w kraju i za granicą, m.in. w Quadriennale Drzeworytu i Linorytu Polskiego w Olsztynie. Dwukrotnie wyróżniona w Premio Internazionale Di Grafica Del Pomero we Włoszech (2007, 2008), laureatka I Nagrody w przeglądzie „Olsztyńska jesień” (Galeria ZPAP w Olsztynie).





Towarzystwo Naukowe „Pruthenia”

dr Izabela Lewandowska



W 2010 roku minęło 10 lat od założenia pierwszego na Warmii i Mazurach towarzystwa, zajmującego się dziejami i kulturą dawnych Prusów. Przyjęło ono nazwę Stowarzyszenia Miłośników Historii i Kultury Prusów, a w 2010 roku przekształciło się w Towarzystwo Naukowe „Pruthenia”. Pomysłodawcą i kanclerzem stowarzyszenia był dr Bogdan Radzicki, filozof, pracujący w Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Funkcję prezesa przez wiele lat sprawował dr Mirosław Janusz Hoffmann, archeolog z Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Także autorka niniejszego tekstu przez pięć lat była sekretarzem Towarzystwa i kierownikiem projektów edukacyjnych. W Towarzystwie działa około 20 osób, wśród których są m.in. archeolodzy, historycy, filozofowie, studenci. Najaktywniej działający, oprócz wyżej wymienionych, to: prof. Grzegorz Białuński, dr hab. Kazimierz Grążawski, dr Justyna Prusinowska, dr Jan Gancewski, Paweł Szymański, Alicja Dobrosielska, Marek Pacholec, Monika Sabljak, Patrycja Godlewska, Joanna Grzelak, Grzegorz Peplowski i Paweł Łuszyński.

Celem towarzystwa jest odkrywanie spuścizny najstarszych plemion na ziemiach pruskich, badanie oraz popularyzacja ich życia i działania. Prowadzimy odczyty, organizujemy konferencje, wyjazdy w teren, weryfikację grodzisk, cmentarzysk oraz pojedynczych kurhanów, które są spuścizną po Prusach. Od 2009 roku trwa budowa osiedla pruskiego, zwanego Amalang, na autentycznym grodzisku ulokowanym na terenie Muzeum Budownictwa Ludowego w Olsztynku. Od 2006 roku wydajemy własne pismo naukowe pod nazwą „Pruthenia”. Do 2010 roku wyszły już cztery tomy.

Z działalności badawczej i naukowej należy wymienić odbywający się od 2006 r. cykl spotkań pod nazwą „Seminarium Prussicum”. Posiedzenia seminarium odbywają się raz w miesiącu w Ośrodku Badań Naukowych w Olsztynie i są okazją do dyskusji o książkach związanych z tematyką pruską oraz osiągnięciami badawczymi członków Towarzystwa i zaproszonych gości. Drugą ważną działalnością jest cykl wykładów o charakterze naukowo-popularyzacyjnym w ramach Warsztatów Bałtyjskich, odbywających się w olsztyńskim zamku. Trzykrotnie już zorganizowano konferencję pod nazwą „Interdyscyplinarne Spotkania z Historią i Kulturą Bałtów – Colloquia Baltica”, która gromadzi badaczy ziem pruskich i bałtyjskich z Polski oraz zagranicą.

Zorganizowano dwa wyjazdy studyjne – jeden po niemieckich archiwach, drugi na Litwę w celu nawiązania współpracy z tamtejszymi badaczami Prusów. Od lat dobrze układają się stosunki z dr Letasem Palmajtisem z Kowna, który tworzy słownik pruski i próbuje odtworzyć język tych ludów.

Inną formą działalności Towarzystwa „Pruthenia” są prace archeologiczne. Członkowie Towarzystwa uczestniczyli w wykopalskach w olsztyńskim Lesie Miejskim, w miejscowości Swaderki na wyspie jeziora Świętego, na tzw. Górze Czarownic w Olsztynku, w miejscowości Pieczarki i kilku innych. Do współpracy zapraszani są archeolodzy z Węgorzewa, Warszawy i Gdańska.

Bardzo ważną działalnością, skierowaną do uczniów szkół podstawowych i gimnazjalnych, są warsztaty ceramiczne i tkackie wraz z prezentacjami multimedialnymi pt. „Dzieje i kultura Prusów”. Warsztaty



1. Widok na budowany gród Amalang (fot. I. Lewandowska)
2. Stoisko rękodzielnicze na Amalangu (fot. I. Lewandowska)
- 3-5. Monika Sabljak, Magdalena Kobiałko i Szymon Marchlewski podczas prezentacji w Szkole Podstawowej nr 34 w Olsztynie (30 listopada 2007 r.)

odbywają się na zaproszenie szkół. Z takiej możliwości skorzystało już Lubomino, Dobre Miasto, Jeziorany, Nowe Kawkowo, Olsztyn i Wrzesina.

Od samego początku Towarzystwo organizuje ponadregionalny konkurs dla młodzieży. Początkowo nosił on nazwę „Prusowie – północni sąsiedzi Słowian”, a od 2008 roku – „Aestiorum Gentes”. Konkurs skierowany jest do szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Pierwszy etap polega na przygotowaniu projektu edukacyjnego o tematyce pruskiej, na drugim etapie uczniowie wypełniają przygotowany przez organizatorów test. Jest to inicjatywa tym bardziej cenna, że od 2010 roku każdy gimnazjalista na świadectwie ukończenia szkoły musi mieć zapisany udział w realizacji wybranego przez siebie projektu. Zależy nam na tym, by projekty, dotyczące ziem pruskich, przyczyniły się do rozbudzenia zainteresowań tematyką dawnych Prusów i pozostawioną po nich spuścizną.

Prężnie działa też Zespół rekonstrukcji ceramiki zachodniobałtyjskiej i kultury pruskiej, który od 2007 roku wyjeżdża na warsztaty do Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie, a także organizuje pokazy szycia strojów średniowiecznych oraz pruskich rzemiosł: garncarstwa, tkactwa (krosno pionowe oraz tabliczki tkackie), wyplatania koszyków, czy przygotowywania tradycyjnych potraw pruskich z możliwością gotowania na żarze w glinianych garnkach.

Od dwóch lat Towarzystwo „Pruthenia” bierze udział w Jarmarku Jakubowym, organizowanym co roku w lipcu w Olsztynie, a także we wrześniu w Olsztyńskich Dniach Nauki, gdzie wystawia swoje stoiska i zaprasza na warsztaty.



W 2009 roku Towarzystwo samodzielnie zorganizowało I Festiwal Bałtyjski, który co roku latem odbywa się na terenie osady Amalang w Olsztynku. W ramach festiwalu w ostatnich dwóch latach odbywały się warsztaty: garncarski, kowalski, rogownika, brązownika, rzeźbiarzy-snycerzy, tkacki oraz sztuki wojennej. Poza tym zorganizowano kuchnię bałtyjską i szkołę języka pruskiego.

Towarzystwo „Pruthenia” swoje prace i projekty prowadzi przy współudziale innych instytucji regionu. Na szczególne podkreślenie zasługuje współpraca z Ośrodkiem Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego w Olsztynie, Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie, Starostwem Powiatowym w Olsztynie i Muzeum Warmii i Mazur.

Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony <http://www.pruthenia.pl>, gdzie znajdują się wszelkie szczegółowe informacje na temat konkursów, warsztatów, a także prezentacje multimedialne z naszej działalności.

Śladami Prusów

Hanna i Adam Mackiewiczowie

Zamieszkujące we wczesnym średniowieczu tereny naszego województwa plemiona Prusów pozostawiły liczne ślady swojej bytności. Nie jest jednak łatwo dostrzec je przeciętnemu odbiorcy krajo-
brazu kulturowego, bo przecież nie każde wyniesienie to grodzisko, a jeśli nawet takowe nim jest, to jak stwierdzić, że to pozostałość po Prusach? Na takie pytanie może odpowiedzieć jedynie archeolog. Zresztą nie tylko grodziska stanowią stosunkowo dobrze czytelne w przestrzeni kulturowej ślady dawnych gospodarzy tych ziem.

Ziemie, które zajmowali potomkowie pradawnych Bałtów, stanowią współcześnie obszar północno-wschodniej Polski wraz z Obwodem Kaliningradzkim, przynależnym Rosji. Obszar zamieszkiwany przez ludność pruską był z pewnością olbrzymim wyzwaniem, jeżeli chodzi o warunki przyrodnicze. Egzystencja w ostrym kontynentalnym klimacie z długimi, srogimi zimami i stosunkowo krótkim okresem wegetacji, wśród bagien i moczarów, nie była łatwa, zwłaszcza że tereny te przynajmniej na początku pozbawione były dostępnych już wówczas osiągnięć w zakresie infrastruktury, takich chociażby jak sieć dróg.

Ludność pruska zatrzymała się w swym rozwoju społecznym na etapie plemiennym. Trudno dziś jednoznacznie stwierdzić, czy brak wykształcenia państwowości spowodowany został wewnętrznymi waśniami w obrębie poszczególnych plemion, czy też proces ten został przerwany ekspansją krzyżacką. Być może obie z tych przyczyn sprawiły, że ludy pruskie nie wykształciły ustroju państwowego. Mimo to powstała dzięki nim imponująca infrastruktura osadnicza. Wprawdzie Prusowie nie budowali miast – jedynym wyjątkiem jest Truso, legendarne emporium rzemieślniczo-handlowe i port nad jeziorem Drużno – nie budowali również typowych wsi. Ich sieć osadnicza składała się z niewielkich jednostek terytorialno-politycznych (tzw. lauksów), tworzonych zazwyczaj przez kilkanaście lub kilkadziesiąt rodzin. Centrum tych dość swobodnie rozrzuconych siedzib były warowne grodziska i strażnice, stanowiące schronienie dla okolicznej ludności w momencie zagrożenia. Trudno dostępne tereny okazały się w tym wypadku wyjątkowym sprzymierzeńcem, bowiem większość grodzisk powstała na wysokich i stromych krawędziach jarów, półwyspach jeziornych i wysokich cyplach morenowych. Teren był zazwyczaj na tyle niedostępny, że nawet współcześnie dotarcie do niektórych z nich jest utrudnione i nie zawsze możliwe o każdej porze roku. Prócz naturalnych walorów obronnych grodziska wyposażone były w całe systemy wałów i fos. Przykładem takiego założenia jest stanowisko w Strużynie (gm. Morąg). Dziś, penetrując takie obiekty, w wielu

przypadkach można odtworzyć ich pierwotne rozplanowanie, które mimo upływającego czasu i nawarstwień ziemnych wciąż wyraża się w przestrzeni. Przykładów zachowanych pruskich grodzisk jest na terenie północno-wschodniej Polski dość sporo. Niektóre z nich zostały objęte badaniami archeologicznymi, które przynajmniej częściowo pozwoliły na odtworzenie ich konstrukcji. O niektórych wiedza przetrwała w postaci nazw, sugerujących ich budowniczych, jak np. grodzisko w Domkowie (gm. Grunwald), zwane Pogańską Górą, lub też grodzisko w Zajączkach, zwane Sassenpils (gród Sasinów). Skupisko stosunkowo dobrze zachowanych pruskich grodzisk między Olsztynkiem, Ostródą i Lubawą w połączeniu z krzyżackimi strażnicami, stanowiącymi bezpośrednią kontynuację założeń obronnych na tym terenie, wydaje się być wystarczającym pretekstem do założenia w tym miejscu archeologicznego parku kulturowego. Nie wolno również zapomnieć o bardzo bliskim sąsiedztwie Pól Grunwaldzkich, a wszystko to osadzone w przepięknym krajobrazie.

Ważnym dla obronności uzupełnieniem sieci grodzisk były wały i przesieki, budowane najpewniej wzdłuż granic poszczególnych jednostek osadniczych. Na pozostałości tego typu umocnień przypisywanych Prusom natrafiono pomiędzy jeziorami Kiermas i Kierzlińskim, a także w rejonie wsi Maruny i Łęgajny.

Powszechny wśród Prusów ciałopalny zwyczaj grzebania zmarłych skutkował praktyką sypania kurhanów, w których chowano urny z prochami oraz przedmioty, należące do zmarłego. Najbardziej znane pruskie nekropolie kurhanowe przetrwały w rejonie wsi Bukwałd (gm. Dywity) i Piórkowo (gm. Płoskinia), natomiast pojedyncze, potężne kurhany zachowały się w Ponarach (gm. Miłakowo) i Tolkinach (gm. Korsze).

Trudno jednak nie zmierzyć się z przekonaniem, że mimo stosunkowo dużej wiedzy, jaką udało się zebrać na temat dawnych gospodarzy tych ziem, wciąż jeszcze wiele śladów po Prusach czeka na swoich odkrywców.



Batki Iwona Bolińska-Walendzik



Domkowo, gm. Ostróda – fragment wału grodziska (fot. A. Mackiewicz)



Domkowo, gm. Ostróda – majdan grodziska (fot. A. Mackiewicz)



Grodzisko w Zajczkach, gm. Ostróda (fot. A. Mackiewicz)

dr Iza Matusiak-Kempa

Przeszłość zaklęta w nazwach, czyli jeszcze raz o nazwie Olsztyn i nie tylko...

Nazewnictwo na Warmii i Mazurach stanowi bardzo ciekawy przedmiot zainteresowania dla badaczy historii języka, wymaga bowiem widzenia faktów językowych i pozajęzykowych: łączenia wiedzy o historii osadnictwa w regionie, znajomości rozwoju języka polskiego i niemieckiego, jak również żmudnych studiów porównawczych nad martwym językiem staropruskim, jak się okazuje, ciągle obecnym w nazwach miejscowych. Na marginesie warto zaznaczyć, że wiedzę o języku Prusów wzbogaca analiza wyrazów występujących w języku litewskim, ponieważ i język staropruski, i litewski, wywodzą się z tej samej grupy języków bałtyckich. Co prawda brzmienie nazw miejscowości niekiedy przypomina brzmienie wyrazów występujących w języku polskim, ale odczuwalny język polski jest zwykle tylko powłoką, zasłaniającą genezę staropruską. Okazuje się, że nawet nazwy *Dorotowo* (koło Olsztyna), czy *Błąkały* (koło Suwałk), choć łatwo zestawzić odpowiednio z imieniem *Dorota* i czasownikiem *błąkać się*, kryją jednak rdzenie pochodzące z języka Prusów. Analiza nazwy *Dorotowo* wskazuje, że należałoby ją łączyć ze staropruskim rdzeniem *dar-* oznaczającym „robić, czynić”, występującym też w litewskim czasowniku *daroti* „porządkować”. Nazwa *Błąkały* przechowuje natomiast podstawową formę *Blendgalas*, związaną ze staropruskim wyrazem *galas* „koniec, krawędź, brzeg, skraj”. Dlaczego zatem te nazwy brzmią tak swojsko? Najogólniej mówiąc, zadziały tu fonetyczne procesy adaptacyjne, czyli dostosowanie brzmienia głosów w języku obcym do języka ojczystego.

Staropruskie dziedzictwo językowe jest też obecne w nazwach dzisiejszych dzielnic Olsztyna, jak: *Kortowo*, *Likuzy*, *Redykajny* i samej nazwie *Olsztyn*. Kilka słów na temat genezy tych toponimów. Nazwa własna *Kortowo* związana jest z wyrazem staropruskim *corto* „gaj, lasek”, zaś polonizujący sufiks *-owo* zastąpił niemiecki formant *-au* (por. niemiecką nazwę *Kortau*). W nazwie *Likusy* (niem. *Likusen*, *Lykusen*) obecny jest, występujący w języku litewskim, a zatem prawdopodobnie też w staropruskim, wyraz *likas* „krzywy, nieużyteczny”. W nazwie *Redykajny* można wskazać dwie podstawy motywujące: litewskie słowo *raĩnas* „kolorowy” i pruskie *kaimis* „wieś”. Całość zestawienia mogła zatem pierwotnie oznaczać „kolorową wieś”.

Na koniec jeszcze zapowiadana w tytule analiza nazwy stolicy Warmii. Według M. Biolik w nazwie *Olsztyn* (niem. *Allenstein*) odnajdujemy rdzeń **el-/ol-* „ciec, płynąć”, występujący również w nazwie rzeki *Łyna*, która zapisywana była w źródłach jako *Alna*, *Alla*, *Alle*, *Allne*. Od nazwy rzeki zaś za pomocą niemieckiego rzeczownika *Stein* „kamień” utworzono nazwę miasta. Inaczej nazwę interpretuje G. Gerullis, jako podstawy wskazując pruski wyraz *alne* „zwierzę, lania” i niemiecki rzeczownik *Stein*, będący komponentem wielu nazw miejscowych.

Przegląd kilku nazw miejscowych jest zaledwie znikomym wycinkiem z niezwykle interesującego i inspirującego nazewnictwa, występującego na terenie dawnych Prus Wschodnich, nazewnictwa odbijającego skomplikowane dzieje tych ziem. Nazwy tu występujące utrwalają pamięć po ludności, której mowę przyprószyły czas i język tych, którzy bądź to w poszukiwaniu wolnych włości, bądź ze słowem Bożym przybyli na Warmię, Barcję, Pogezanie, Sambię i Galindię. Dotarcie do genezy nazw miejscowych i jeszcze starszych nazw wodnych odsłania nie tylko sam język starożytnych Prusów, ale też pokazuje, jak postrzegano otaczający świat i dokońnawano jego interpretacji: jakie rzeczy, zjawiska, cechy charakterystyczne uznawano za ważne na tyle, by nadać im moc identyfikacji miejsc.

dr Jerzy Łapo

O „babach” z wąsami

„Baby” z wąsami – w tym przypadku to żadne antyfeministyczne hasło... Tak w najprostszy sposób można opisać zabytki, które w fachowym języku noszą miano „antropomorficznej rzeźby kamiennej”. Są to posągi przedstawiające ludzkie postacie, wyrzeźbione w sposób prymitywny lub – delikatniej mówiąc – naiwny, których wyraźne skupisko na mapie Europy znajduje się w zachodniej i środkowej części dzisiejszego województwa warmińsko-mazurskiego. Od wieków budziły one różne emocje, stając się natchnieniem nie tylko dla poetów i pisarzy. Do dzisiaj tutejsze „baby” nie zdradziły, kim były...

Dlaczego „baby”?

Kamienne rzeźby, wyobrażające ludzi, znane są z wielu zakątków świata. Tworzone były w różnych okresach, lecz zawsze wiązały się z sacrum. Zawsze też przez miejscowych mieszkańców otaczane były zabobonnymi opowieściami, mniej lub bardziej nawiązującymi do ich dawnej, rzeczywistej roli. Wiele antropomorficznych („podobnych do ludzi”) posągów, najczęściej męskich, jeszcze do końca XIX w. można było spotkać na euroazjatyckich stepach, gdzie często stały na pradawnych kurhanach, wyobrażając zmarłych przodków, praojców – w językach tureckich często określanymi jako „baba”. Nazwa ta trafiła do obiegu krajoznawczego i naukowego, najpierw do języków słowiańskich, a później innych, m.in. do niemieckiego, tworząc dziwną hybrydę językową „Steinbaben”.

Na terenach dawnych ziem pruskich najwcześniej, gdyż w 1706 r., wzmiankowano posąg w Bartoszczach, zwany Bartlem. „Baba” o wysokości 1,4 m miała wydzieloną z korpusu głowę zwieńczoną szpiczastym przykryciem głowy (helmem?), zaznaczone były oczy i nos. W prawej ręce znajdował się wyrzeźbiony róg do picia. Na początku XVIII stulecia Bartel stał przy Bramie Królewieckiej, w obrębie zajazdu Junkerhof, gdzie wykorzystywany był do... wiązania koni. Ale służył także zabiegom typu magicznego – młodożeńcy, weselący się w gospo-

dzie, chcąc zapewnić sobie szczęście na „nowej drodze życia”, pocierali wyrzeźbiony róg!

Bartla można zaliczyć do zbioru klasycznych „bab” kamiennych. Podobne posągi mierzyły sobie najczęściej 1-1,5 m, ale zdarzały się też „wielkoludy” – Prątnica (2,1 m), Bratian (ok. 2 m). Zawsze w obrębie rzeźby wyróżniano głowę (czasami ze szpiczastą brodą), inne rytły były płaskorzeźbami. Róg umiejscawiano zawsze w prawej lub przy prawej ręce, czasami pojawiały się elementy uzbrojenia, najczęściej miecze – po lewej stronie. Wiele rytów jest trudnych współcześnie do interpretacji – być może przedstawiają one także tarcze czy szamańskie laski.

Do zbioru klasycznych czy też „prawdziwych” pruskich „bab” kamiennych można zaliczyć 11 posągów, ale są też takie „domniemane”, m.in. bartoszycka Gustebalda czy Mensch (Człowiek) z Jelitek. Wyróżnić można również „baby” „nieprawdziwe” czy „pozorne”, które są rzeźbami powstałymi już w okresie nowożytnym i mniej lub bardziej nawiązującymi do średniowiecznych „oryginałów”.

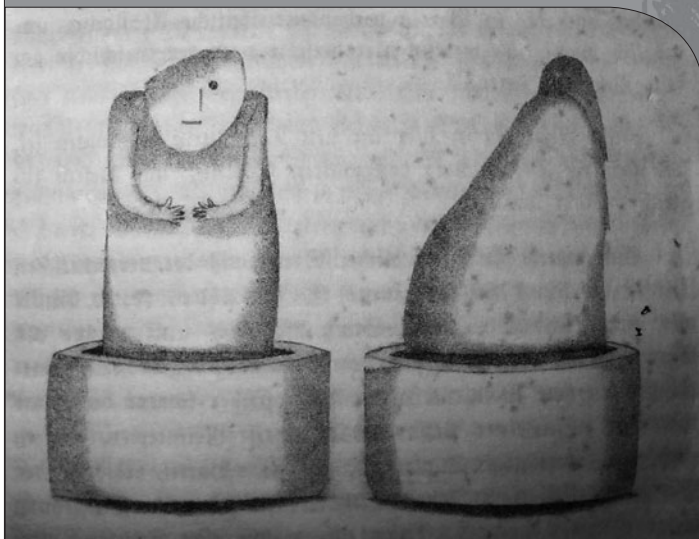
Kto zacz?

Jedną z największych „babskich” zagadek jest to, kogo przedstawiały owe posągi? Jedyńą rzeźbą odkrytą w miejscu jej pierwotnego ustawienia jest „baba” z Poganowa. Stała ona w miejscu kultowym, gdzie składano m.in. ofiary z koniny. Analizy archeologiczne wskazują, iż wykorzystywano je między końcem X w.-połową XI w. a połową (końcem?) XII w. Tak też należy datować powstanie tamtejszej „baby”. Podobnie, na X-XII w., datowane są inne pruskie posągi. Czy przedstawiały one pogańskie bóstwa, wodzów, szamanów – tego jeszcze „nie chcą” powiedzieć naukowcom. Były one najprawdopodobniej efektem przeobrażenia się religii pruskiej i zachodzącej w niej antropomorfizacji – m.in. na rzeźby wybierano głazy przypominające wielkością ludzi. Być może był to skutek stykania się wczesnośredniowiecznych Prusów z ideami chrześcijańskimi, płynącymi z Południa i Zachodu, w których Bóg miał postać ludzką.

Życie po życiu

Upraszczać – św. Wojciech „bab” kamiennych jeszcze nie widział, a krzyżacy – już nie widzieli. Później pradawne posągi stawały się znakami granicznymi, ustawianymi na miedzach albo nawet materiałem budowlanym. Opowiadano, że to grzeszni ludzie, którzy zostali pokarani skamienieniem za m.in. strzelanie do Pana Boga (Mózgowo), zbytnie strojenie się (Bartoszyce – Gustebalda) czy pracę w niedzielę (Listewoje). Niektóre z posągów otrzymywały własne imiona – jak chociażby te z Bartoszyce czy Potrimpus z Dzierzgonia. Najsłynniejszymi stały się bartoszyckie „bartki”, które już w XVIII w. przez generała Friedricha zu Anhalta zostały wykreowane na symbole miasta (Bartel stał się św. Bartłomiejem).

Bartoszycka „Gustebalda” wg Johanna Benischa (1836)



Gdy w XIX w. wzrosło zainteresowanie starożytnościami krajowymi, „baby” zaczęły wyruszać w podróże. Posągi z okolic Ławy przewieziono do Gdańska, gdzie do dziś można je podziwiać przed Muzeum Archeologicznym, a już po II wojnie światowej rzeźba z Barcian trafiła na dziedziniec olsztyńskiego zamku. Niektóre z zabytków zaginęły.

Podobno, gdy gdańscy studenci w czasie sesji chcą zdać egzamin, muszą „pogłaskać” któryś z posągów. Czy to skutkuje? Nie sprawdzałem, studiowałem w Toruniu...

Zainteresowani więcej informacji znajdą w książce pt. *Pruskie baby kamienne. Fenomen kulturowy czy europejska codzienność?*, red. Jerzy Łapo, Grzegorz Białuński, Olsztyn, Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego, 2007.



„Portret” rodzinny pruskich bab kamiennych: A-Barciany, B-Bartoszyce (Bartel), C-Bartoszyce (Gustebalda), D-Mózgowo/Laseczno, E-Piętki, F-Pogranicznioje, G-Susz/Różnowo/Bronowo, H-Prątnica, I-Młynisko, J-Dzierzgoń, K-Bratian, L-Poganowo, Ł-Galdowo/Jędrychowo, M-Jelitki, N-Susz/Nipkowie. Rys. Jerzy Łapo

Bartoszycki „Bartel” (fot. Jerzy Łapo)

Rafał Kocięda

Iławscy pasjonaci historii



Członkowie Stowarzyszenia „Ylavia”. Od lewej: Michał Młotek, Zbigniew Janik, Bożena Kujawska, Stanisław Baruchowski, Krzysztof Kujawski, Rafał Kocięda, Henryk Oleksiuk.

W listopadzie 2010 roku ogólnopolskie media podały informację o odkryciu we wsi Mózgowo w powiecie iławskim XI-wiecznego skarbu. Szczęśliwymi znalazcami byli członkowie historycznego stowarzyszenia „Ylavia”, poszukiwacze amatorzy, których najczęściej określa się mianem „poszukiwacze skarbów”. Historia iławskiego stowarzyszenia to jednak nie tylko historia odnalezienia srebrnego skarbu z Mózgowia, to historia grupy osób, które połączyły swe siły, by odkrywać przeszłość i ukazywać ją innym.

Stowarzyszenie Badaczy Historii Deutsch Eylau „Ylavia”, bo tak brzmi pełna nazwa stowarzyszenia, powstało w 2006 roku z inicjatywy Stanisława Baruchowskiego, Rafała Kociędy, Krzysztofa Kujawskiego, Romana Dembińskiego i Zbigniewa Janika. Jednak pasja odkrywania historii rodzinnego miasta połączyła ich już dużo wcześniej. Pierwszy raz grupa historyków-amatorów oficjalnie zaistniała w 2005 roku, jako „autorka” i „organizatorka” wystawy historycznej z okazji 700-lecia Iławy. Ekspozycja cieszyła się dużym zainteresowaniem nie tylko ze względu na ilość eksponatów, ale przede wszystkim z powodu pierwszej takiej okazji ujrzenia tylu przedmiotów, związanych z przedwojenną Iławą. Wielu zwiedzających wyrażało zdziwienie, że autorami wystawy są osoby prywatne, a nie samorząd miejski. Padło wiele słów uznania, były też sugestie, aby grupa przyjęła jakąś formę organizacyjną. To zadecydowało o powołaniu stowarzyszenia.

Głównym celem pasjonatów z Iławy jest poszukiwanie i kolekcjonowanie porzuconych lub zagubionych pamiątek, przedmiotów sprzed 1945 roku, związanych z Iławą i okolicznymi miejscowościami. Dlatego najwięcej czasu poświęcają – prowadząc poszukiwania

przy pomocy wykrywaczy metalu – nadzorowaniu wykopów budowlanych i rozbiórek starych kamienic. Członkowie stowarzyszenia monitorują stale aukcje internetowe, uczestniczą w jarmarkach i targach staroci. Inną formą pozyskiwania pamiątek jest wymiana z regionalistami z innych miejscowości w Polsce. Oddzielnym zadaniem grupy jest zbieranie informacji o przedwojennej Iławie. Ważnym dla Stowarzyszenia „Ylavia” okazał się rok 2008, kiedy dzięki wsparciu archeologa, dr. Wiesława Skrobota, i pracownika Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, dr. Jarosława Sobieraja, grupa podjęła współpracę z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków w Olsztynie. Pozwoliło to na uzyskanie oficjalnego pozwolenia na prowadzenie poszukiwań w całym powiecie iławskim. Członkowie „Ylavii” uważają to za duży sukces, bo wbrew pozorom uzyskanie takiego pozwolenia jest bardzo trudne, a w niektórych województwach wręcz niemożliwe. Świadczy to o dużym uznaniu ze strony archeologów dla starań i zasług „Ylavii” w odkrywaniu historii regionu. Już wkrótce współpraca ta okazała się korzystna dla obu stron, bowiem stowarzyszenie przekazało olsztyńskim archeologom zabytki, których rangi naukowej nie sposób przecenić. W tym samym roku skład „Ylavii” powiększył się o jedną osobę – do grupy dołączył Michał Młotek, także pasjonat historii, poszukiwacz i kolekcjoner. W 2010 r. przyłączyli się do stowarzyszenia: Bożena Kujawska, Kamil Knowski, Henryk Oleksiuk i Marek Sadłowski (który po kilku miesiącach zrezygnował z członkostwa). W tym samym roku Kapituła „Ylavii” w dowód uznania za wieloletnią współpracę postanowiła nadać honorowe członkostwo Monice Krajnik, przewodniczącej Mniejszości Niemieckiej w Iławie, urodzonej w tym mieście jeszcze przed wojną.

Znalezisko „Ylavii” – dolne okucie pochwy miecza. Brąz około X wieku proveniencja skandynawska



Stowarzyszenie Badaczy Historii Deutsch Eylau „Ylavia” może się pochwalić odkryciem kilkuset zabytków. Pierwszy rok współpracy z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków, a właściwie 5 miesięcy 2008 roku, zaowocował dziesięcioma przedmiotami. Wśród nich była bransoleta celtycka, zabytek bardzo rzadki i cenny dla badaczy kultury celtyckiej w Polsce. Rok 2009 to już 85 przedmiotów, w tym najcenniejsze to dwa unikatowe na skalę krajową okucia pochew mieczy z X i XI wieku, fragment enkolpionu z XI wieku i grot włóczni z XIV wieku. Przekazano także do muzeum skarb 31 monet rzymskich, odkrytych na terenie Iławy w latach 80-tych XX wieku. Grupa poszukiwaczy wykupiła ów skarb od znalazcy. Ubiegły rok poszukiwań przyniósł 105 zabytków – oczywiście nie obeszło się bez kolejnych ciekawostek. Największe z nich to trzy strzemiiona wczesnopruskie, toporek kamienny, toporek z brązu, fragment klingi sztyletu z brązu i średniowieczna plakietka pielgrzymcza. Poza wspomnianymi przedmiotami przekazano także szereg pomniejszych znalezisk, jak: numizmaty, fibule, ozdoby i przedmioty codziennego użytku, które pozwoliły rzucić nowe światło na pradzieje naszego regionu. Łącznie „Ylavia” przekazała już 200 zabytków i dwa skarby monet – a wszystkie te przedmioty trafiły do specjalnego depozytu utworzonego w Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Depozyt otwarty został w 2007 roku na wniosek Grupy Inicjującej Projekt Powołania Muzeum Regionalnego w Iławie. Przez trzy lata trafiło do niego łącznie około 500 zabytków, które powrócą do Iławy z chwilą utworzenia nad Jeziorakiem Muzeum Regionalnego, którego powstanie jest jednym z pragnień poszukiwaczy z Iławy. Dlatego Stowarzyszenie „Ylavia” na każdym polu wspiera działania Grupy Inicjującej Projekt Powołania Muzeum Regionalnego w Iławie. Jednak znalezione zabytki to zaledwie kilka procent ogółu znalezisk. Większość to przedmioty XIX- i XX-wieczne, którym nie przysługuje miano zabytku. Jednak i wśród nich są rzeczy, na widok których poszukiwaczom z Iławy przyspiesza tętno. Najbardziej upragnione to przedmioty sygnowane nazwą „Deutsch Eylau” – i nieważne, czy jest to plomba ołowiana, dzwonek rowerowy, czy butelka z iławskiego browaru, każdy z nich traktują niemal jak relikwie. Wielkie znaczenie mają także znaleziska związane z obroną miasta w styczniu 1945 roku, gdyż ten okres historii Iławy jest najmniej znany i udokumentowany.

Sukces „Ylavii” to także zorganizowanie pięciu wystaw historycznych, odkrycie nieznanego historykom i archeologom obronnego wału pruskiego, osady i cmentarzyska z okresu wpływów rzymskich, oraz znalezienie trzech nieoznakowanych mogił żołnierzy niemieckich z okresu II wojny światowej, z których ekshumowano szczątki 17 osób. W trakcie poszukiwań członkowie grupy natrafili także na 4 składy niewybuchów i niewypałów, z których saperzy zneutralizowali ponad 100 sztuk amunicji artyleryjskiej z okresu II wojny światowej.

Dziś nikt już nie ma wątpliwości, że Stowarzyszenie Badaczy Historii Deutsch Eylau „Ylavia” na stałe wpisało się w historię regionu.



Znalezisko „Ylavii” – bransoleta celtycka.

We wrześniu 2010 roku poszukiwacze z Iławy natrafili bowiem w okolicach Mózgowa na srebrny skarb złożony z 802 srebrnych monet i fragmentów ozdób z XI wieku o łącznej wadze 322,5 grama. Stanowi on pozostałość po depozycie odnalezionym w drugiej połowie XIX wieku. Odkrycie skarbu zajęło grupie ponad dwa lata poszukiwań w terenie oraz nieokreśloną liczbę godzin spędzonych na tropieniu skarbu w dostępnych materiałach historycznych. Wydarzenie to stało się sensacją w świecie archeologów i historyków, którzy bez wahania określili go mianem jednego z największych odkryć na terenie województwa warmińsko-mazurskiego po 1945 roku. Skarb składał się 98 całych denarów, głównie cesarza niemieckiego Ottona III, 598 tzw. „siekańców” monet, arabskich dirhemów i denarów oraz 106 ozdób i ich fragmentów – w tym unikalnego na skalę europejską fragmentu srebrnego enkolpionu. Uroczyste przekazanie skarbu muzealnikiem z Olsztyna odbyło się 11 listopada 2010 roku w sali wystawowej Iławskiego Centrum Kultury.

Poszukiwacze z Iławy to jedna z nielicznych formalnie zorganizowanych grup detektorystów, działających na terenie Warmii i Mazur. To też cały czas jedna z niewielu grup w Polsce, która zgodnie z prawem, za pozwoleniem odpowiednich instytucji, przeszukuje podmiejskie tereny przy użyciu wykrywaczy metali. Jak widać, z ogromnym pożytkiem dla historii całego regionu. Godnym podkreślenia jest fakt, że Stowarzyszenie „Ylavia” realizuje swoje pasje hobbystycznie z własnych funduszy i w czasie wolnym od obowiązków zawodowych i rodzinnych.

Muzeum Regionalne w Iławie – *processus interruptus*

Muzealnictwo jest bardzo specyficzną dziedziną życia społecznego. Z ustaw wynika, że muzeum to instytucja upowszechniająca kulturę, służąca ochronie pamiątek przeszłości oraz edukacji i popularyzacji historii. Potocznie muzea kojarzą się z nudą zakurzonych gablot i usypiającym głosem znużonego życiem przewodnika, który po raz nie wiadomo który opowiada o kawałkach potłuczonych garnków, połamanych i zjedzonych przez rdzę szczątkach uzbrojenia oraz innych, równie godnych pogardy rupieciach.

Rzadko pamięta się o tym, że źródłami rozwoju nowoczesnego muzealnictwa były możnowładcze kolekcje, tworzone w XVII wieku na dworach Rzymu i Watykanu, a także w pałacach francuskich królów, którzy byli pierwszymi propagatorami udostępnienia kolekcji społeczeństwu. To, co kiedyś stało się triumfalną zdobyczą demokracji, dziś bywa lekceważonym dodatkiem do turystyczno-krajobrazowych atrakcji letnich. Nie pamięta się wcale, że instytucja muzeum nobilituje i uszlachetnia kulturę, dodaje jej ciężaru gatunkowego, który jest wartością trwałą i nie przemija wraz z letnim sezonem imprezowym.

Dawno, dawno temu...

Pierwszy projekt iławskiej instytucji muzealnej, który przygotowałem w maju 1995 r., był zatytułowany „POMEDIAN – Muzeum Pogranicza Kulturowego”. Misję tego muzeum sformułowałem jako „Badanie procesów kulturowych w międzyrzeczu Drwęcy, Osy i dolnej Wisły w możliwie szerokim przedziale dziejowym. Gromadzenie, opracowywanie i udostępnianie materialnych i niematerialnych śladów tych procesów”. W projekcie przedstawione zostały także cele strategiczne i zadania iławskiego muzeum. Jeszcze w grudniu 1994 r. powstał – także mojego autorstwa – szczegółowy „Projekt stanowiska pracy do tworzenia muzeum w Iławie”. Mimo deklarowanego zainteresowania władz miasta i lokalnych środowisk opiniotwórczych projekt utworzenia muzeum nie został wówczas podjęty, jak mówiono – z braku odpowiedniego lokalu. Moje opracowanie spoczęło w jakiejś szufladzie magistrackiej i nigdy nie zostało użyte.

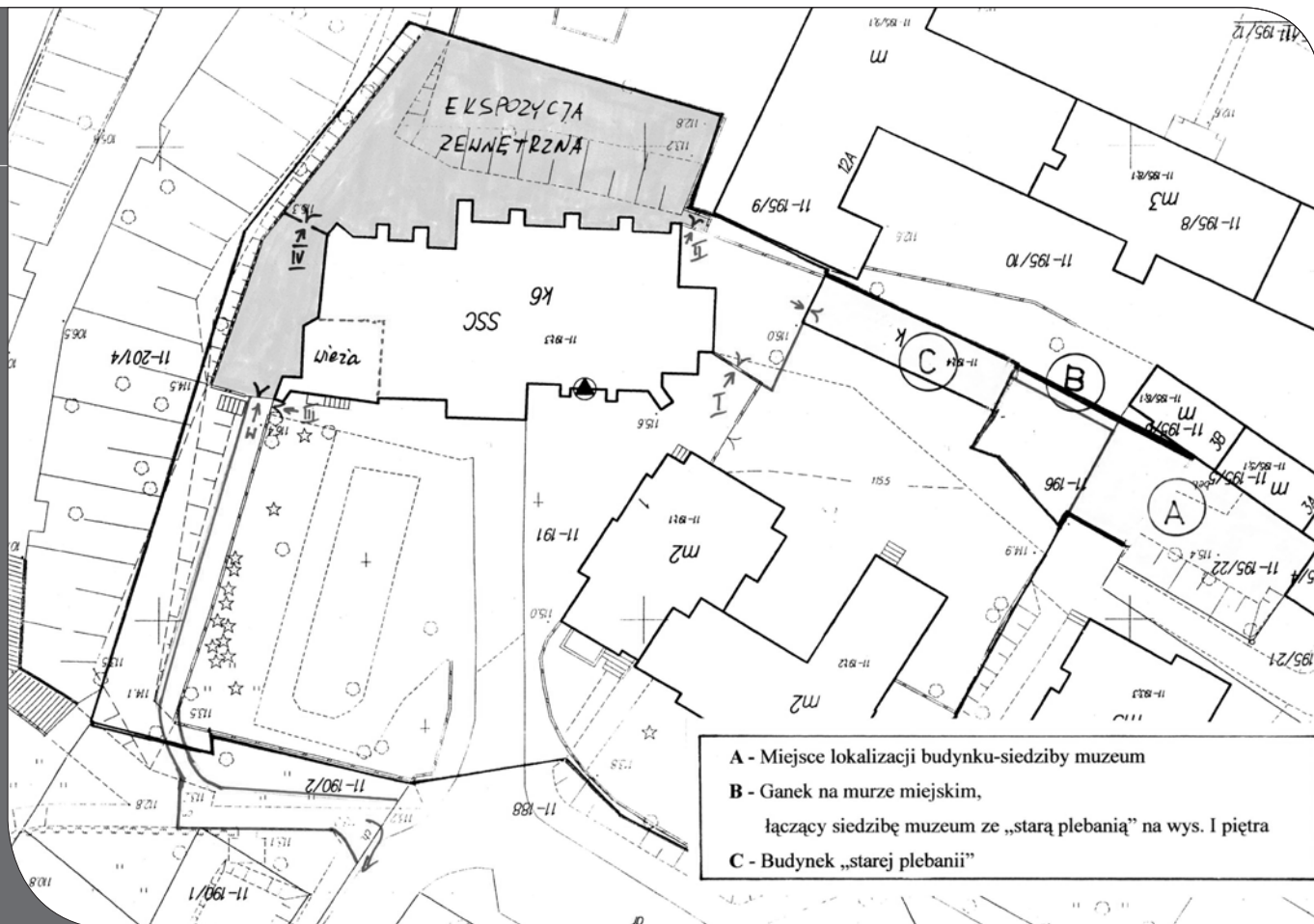
Dwa lata później, w oparciu o założenia przygotowane dla Iławy, na zaproszenie burmistrza Ostródy podjąłem działania w celu utworzenia ostródzkiego Muzeum Regionalnego. W latach 1997-1999 w pomieszczeniach ostródzkiego zamku, przy współudziale dwojga młodych stażystów i wolontariuszki Amerykańskiego Korpusu Pokoju oraz we współpracy ze społecznością Ostródy, stworzyłem strukturę organizacyjną, wystawienniczą i edukacyjną lokalnego muzeum, które istnieje do dnia dzisiejszego i bardzo dobrze wypełnia swoje funkcje.

Całkiem niedawno!

W 2006 r. w iławskim środowisku miłośników przeszłości aktywnie zaczęła działać Agnieszka Błędowska – z wykształcenia archeolog, na co dzień kierująca „Lokalną Organizacją Turystyczną Pojezierza Iławskiego i dorzecza dolnej Drwęcy”. Z jej inicjatywy powstała społeczna Grupa Inicjująca Utworzenie Muzeum Regionalnego w Iławie. W efekcie działań Grupy we wrześniu 2006 r. Rada Miejska podjęła uchwałę intencyjną o potrzebie utworzenia takiego muzeum. W czerwcu 2007 r., znów z inicjatywy Agnieszki Błędowskiej, odbyła się konferencja, promująca ideę utworzenia Muzeum Regionalnego w Iławie. W następstwie Rada Miejska w projekcie budżetu na rok następny wydzieliła kwoty na działania muzeotwórcze.

W kwietniu 2008 r. zostałem zatrudniony na pół etatu do realizacji spraw związanych z utworzeniem instytucji muzealnej. Na podstawie swoich doświadczeń i analiz przygotowałem autorską koncepcję rozplanowania przestrzeni muzealnej w sąsiedztwie gotyckiego kościoła Przemienienia Pańskiego, przy południowej linii zachowanego fragmentu murów miejskich. Kompleks muzealny miał się składać z czterech głównych elementów: 1. zbudowanego od podstaw na terenie komunalnym budynku głównego, 2. poddanego remontowi konserwatorskiemu budynku o konstrukcji ryglowej, należącego do iławskiego klasztoru Ojców Oblatów (tzw. „stara plebania”), 3. krużganka na reliktach muru miejskiego – z funkcją komunikacji obu budynków muzealnych, 4. terenu ekspozycji zewnętrznej, okalającego bryłę gotyckiego kościoła od stron południowej i wschodniej. W przyszłości planowano także wykorzystać do celów muzealnych wieżę kościelną, jako miejsce ekspozycji i punkt widokowy. Współpraca ze stroną kościelną układała się bardzo dobrze dzięki proboszczowi parafii Przemienienia Pańskiego, księdzu Wiesławowi Lewiczowi, który aktywnie uczestniczył w pracach Grupy Inicjującej Utworzenie Muzeum Regionalnego w Iławie. Po jego tragicznej śmierci w 2009 r. pojawiły się pewne komplikacje, ale dzięki istnieniu porozumienia, podpisanego przez władze miasta i stronę kościelną, proces przygotowań do utworzenia iławskiego muzeum można było kontynuować.

Sprawą utworzenia instytucji muzealnej od początku bardzo żywo interesowali się członkowie iławskiego stowarzyszenia „Ylavia”. Dzięki współpracy z Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie oraz Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków eksploratorzy zbudowali ze swych znalezisk depozyt – przechowywany obecnie w muzeum olsztyńskim – złożony z kilkuset, nierzadko bardzo cennych, eksponatów. Po utworzeniu Muzeum Regionalnego w Iławie ma on stanowić zaczątek własnych zbiorów.



W ramach innych działań promuzealnych, na drodze kontaktów z muzeami warszawskimi i trójmiejskimi, udało mi się skompletować około 2,5 tysiąca książek historycznych do zbiorów przyszłej biblioteki muzealnej.

W 2010 r. władze miasta ogłosiły przetarg na wykonanie projektu architektoniczno-budowlanego kompleksu muzealnego. W grudniu prace projektowe zostały zakończone, a powiatowy nadzór budowlany wydał pozwolenie na budowę.

I na tym – póki co – kończy się kolejna próba utworzenia w Iławie muzeum. Władza zawiesiła bowiem dalsze działania związane z budową budynku-siedziby przyszłej instytucji, uznając za ważniejsze inwestycje turystyczno-rekreacyjne nad Jeziorkiem. Co gorsza jednak, nie przedłużono ze mną umowy, powstrzymując tym samym dalsze działania organizacyjne i narażając projekt muzealny na zmarginalizowanie oraz odsunięcie jego kontynuacji na czas bliżej nieokreślony.

Od czasu powstania pierwszej koncepcji w 1994 r. Iława jeszcze nigdy nie była tak blisko zrealizowania projektu utworzenia własnego samorządowego muzeum, jak w roku 2010. Zaniechanie kontynuacji projektu zawiodło oczekiwania wielu mieszkańców Iławy, którzy bardzo żywo interesowali się powstawaniem instytucji muzealnej. Zmarnotrawiony został także mój wysiłek skoncentrowany na bu-

dowaniu sieci współpracy z wieloma polskimi muzeami, które zadeklarowały chęć pomocy w tworzeniu ekspozycji, a także programu edukacyjnego oraz naukowo-badawczego. Jeśli przerwa w pracach potrwa dłużej niż rok, w warunkach przewidywalnej dekonstrukcji władze miejskie mogą odłożyć utworzenie Muzeum Regionalnego na kolejne dziesiątki lat. Niezrozumiałe posunięcie...

Rys. Zbigniew Urbalewicz



Św. Brunon

– mnich, misjonarz, męczennik, dyplomata

Waldemar Tychem

Brunon z Kwerfurtu wymyka się utartym schematom, jak dziś byśmy powiedzieli, „pasowania na świętego”. Co prawda tuż po swojej śmierci w 1009 r. został kanonizowany, ale nie znamy miejsca ani daty tej kanonizacji. Nie dość na tym – nawet miejsce jego męczeńskiej śmierci oraz pochówku wciąż pozostaje jedynie w sferze domysłów. Jego losy, działalność, a nawet misja, którą został naznaczony, nie do końca są jeszcze zweryfikowane, a sama jego osoba często była mylona z kimś innym. W części źródeł występował bowiem jako Bruno (dokumenty niemieckie), w innych jako Bonifacy (imię zakonne), a nawet przez niektórych badaczy był przez czas jakiś nazywany drugim polskim metropolitą czasów Bolesława Chrobrego. Co ciekawe, w kalendarzu męczenników Kościoła Rzymskiego także funkcjonował jako dwie różne osoby (19 czerwca jako św. Bonifacy i 15 października jako św. Brunon). Słowem – historię Brunona wciąż spowija całun tajemnicy. Dlaczego – skoro tak wiele mu się przypisuje w dziele chrystianizacji rodzącego się państwa polskiego, pamięć o nim i jego dokonaniach uległy w Polsce na wiele stuleci zapomnieniu? Dlaczego kult św. Brunona tak szybko zanikł i odrodził się dopiero w XIX wieku? Co tak naprawdę – i w świetle najnowszych źródeł – wydarzyło się podczas jego ostatniej misji na terenach Prus i Litwy? Na te oraz szereg innych, rodzących się w trakcie poznawania losów Brunona, pytań postarał się odpowiedzieć Grzegorz Białuński w swojej najnowszej pracy zatytułowanej *Misja prusko-litewska biskupa Brunona z Kwerfurtu*. Autor, specjalizujący się w historii osadnictwa na ziemi mazurskiej oraz historii plemion pruskich, który już od lat dziewięćdziesiątych interesował się postacią Brunona, postanowił dołożyć kolejną „cegielkę” do powstania biografii biskupa *in partibus infidelium*¹. Jak sam autor zauważył, biografii takiej doczekał się już poprzednik Brunona w działalności misyjnej, św. Wojciech – patron Polski, Czech i Węgier.

Brunon urodził się w Kwerfurcie (Niemcy), w arystokratycznej rodzinie, spokrewnionej m.in. z saskimi Ludolfingami². Nic więc dziwnego, że po ukończeniu szkoły katedralnej w Magdeburgu (jej absolwentem był też wspomniany wcześniej Wojciech Sławnikowicz – pierwszy misjonarz na terenach pruskich i „ojciec duchowy” Brunona) został mianowany kanonikiem, a następnie, na dworze Ottona III, pełnił funkcję cesarskiego kapelana (wszak sam Otton III pochodził z saskiej linii rodu Ludolfingów. W literaturze nie eksponuje się tego pokrewieństwa, kładąc bardziej nacisk na powinowactwo duchowe Ottona i Brunona). Młody Brunon, który bardzo przeżył męczeńską śmierć św. Wojciecha, zrezygnował w 998 r. z kariery dworskiej u boku Ottona i powodowany wewnętrznym niepokojem wstąpił do klasztoru benedyktynów, gdzie przyjął śluby zakonne. Dwa lata później (1001 r.) udał się do pustelni św. Romualda w Pereum koło Rawenny – jednak i tam praktykowanie wyłącznie biernej ascezy nie do końca odpowiadało duchowym potrzebom Brunona, gdyż – jak podaje Białuński – „jego powołaniem były misje i poszukiwanie męczeńskiej śmierci”. Na pierwsze miejsce swojej działalności

misyjnej wybrał Węgry oraz tereny na południe od Rusi Kijowskiej, gdzie ewangelizował plemiona Pieczyngów. Do Polski trafił jesienią 1008 r. i za namową Bolesława Chrobrego rozpoczął z początkiem 1009 r. swoją ostatnią misję ewangelizacyjną w Prusach, gdzie 9 marca 1009 r. zginął śmiercią męczeńską³. Ciekawym epizodem z życia męczennika była tzw. „próba ognia”, do której doszło w trakcie jego ostatniej misji. Brunon po dotarciu do Prusów początkowo rozpoczął działalność ewangelizacyjną bez jakichkolwiek szykan z ich strony. Prusowie, widząc bosego i ubranego w prosty i podniszczony strój mnisi Brunona, potraktowali go zrazu jako nieszkodliwego jałmużnika. Dopiero, gdy ich król Nethimer ujrzał duchownego w szatach biskupich, zrozumiał, że szczerść intencji misyjnych Brunona była prawdziwa. Według Białuńskiego na specjalnym wiecu, podczas wspomnianej „próby ognia”, doszło więc do swoistego „pojedynku kultów”. W ogień wrzucono posądkę bóstw, czczonych przez Prusów – i spłonęły, w przeciwieństwie do Brunona, który wedle jednych źródeł miał być wniesiony w ogień na swoim tronie biskupim i tam bez jakiegokolwiek uszczerbku przetrzymać siedem psalmów odśpiewanych przez swoich kapłanów. Według relacji z innych źródeł, do których wiarygodności i bezstronności przychyliła się także autor *Misji...*, św. Brunon przeszedł pomiędzy dwoma płonącymi stosami, a całość wydarzenia była swoistą inscenizacją i układem, jaki zawarł z wodzem Prusów. W ten sposób miał przekonać ogół zgromadzonych na wiecu do porzucenia swojej religii i przyjęcia chrztu. Świadczyłoby to o niewątpliwym talencie dyplomatycznym św. Brunona, taką politykę zresztą zastosował także m.in. podczas swojej osobistej misji na Węgrzech oraz wśród Pieczyngów (wówczas doprowadził do zawarcia pokoju pomiędzy Pieczyngami i Rusią Kijowską).

Książka prof. Białuńskiego z co najmniej dwóch powodów jest godna zauważenia – po pierwsze z uwagi na konsekwencję w rysunku całego spektrum historyczno-polityczno-obyczajowego, związanego z tym ostatnim ewangelizacyjnym epizodem w działalności misyjnej św. Brunona. Po drugie zaś – z uwagi na dogłębną analizę źródeł oraz dotychczasowej literatury naukowej, poświęconej św. Brunonowi. Między innymi autor – jako szczególnie kuriozalną metodę badawczą – przytacza pozycję pani Donaty Godlewskiej, która w swojej pracy o biskupie większość nieznanych ze źródeł informacji przejęła z powieści A. Lisowskiej-Niepokólczyckiej *Jest tu chłopiec*. Przyczyną problemów z weryfikacją podstawowych faktów oraz danych faktograficznych, dotyczących losów św. Brunona, jest brak wiarygodnych źródeł, a te, które mogą służyć jako materiał badawczy, wymagają do ich właściwej interpretacji dogłębnej wiedzy historycznej. To, że o św. Brunonie nie wspomina ani Jan Długosz, ani inni polscy kronikarze, jest z pewnością faktem dziwnym⁴, ale po lekturze *Misji prusko-litewskiej...* nieco bardziej zrozumiałym. Dlaczego zatem kult św. Brunona zanikł na naszych terenach? Tu odpowiedź, jak się wydaje, jest prosta i nie wymaga zbyt obszernej wiedzy historycznej. Po prostu z uwagi na nie-



Tomasz Birezowski

Staropruski Braveheart

znane miejsce pochówku męczennika zabrakło także jego relikwii, dlatego też jego postać nie zajmowała staropolskich hagiografów i, mimo iż wszedł do panteonu polskich patronów, nie doczekał się należytej mu biografii. Dopiero w XIX w., gdy odkryto jego spuszczoną pisarską, powróciło zainteresowanie dziełem i losami św. Brunona. O jego roli i znaczeniu w historii Polski powiedzieli m.in. biskupi polscy w słynnym *Orędziu biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim* z 18 listopada 1965 r.: „Z Zachodu też przybyli do nas apostołowie i święci. Oni to należą do wartości najcenniejszych, którymi obdarzył nas Zachód. Błogosławioną działalność społeczną odczuwamy na wielu miejscach dziś jeszcze. Do najbardziej znanych zaliczamy św. Brunona z Kwerfurtu, zwanego biskupem pogan, który w porozumieniu z Bolesławem Chrobrym dokonał dzieła ewangelizacji słowiańskiego i litewskiego północnego wschodu”. W ten oto sposób św. Brunon trafił na karty historii najnowszej.

Białuński Grzegorz, *Misja prusko-litewska biskupa Brunona z Kwerfurtu*, Olsztyn, Towarzystwo Naukowe i Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego [etc.], 2010.

¹ *In partibus infidelium* (łac.) – w kraju niewiernych; przen. w otoczeniu wrogim. Tytuł nadawany biskupom bez własnej diecezji, piastującym godność nominalną. Brunon został mianowany biskupem *in partibus infidelium* przez papieża Sylwestra II.

² Cyt. za: M. Sas, *Działalność św. Brunona z Kwerfurtu*, „Teki Historyczne”, 2009, nr 38, s. 41.

³ Cyt. za autorem. Według kronik biskupa Thietmara była to data 14 lutego 1009 r.

⁴ J. Długosz w swoich *Annales Regni Poloniae*, pomimo iż znał *Zywot św. Romualda P. Damianiego*, w którym występował św. Brunon, nie wspominał o nim ani słowem.

Nad zielonymi wzgórzami Szkocji w okolicach miasta Stirling dominuje William Wallace Monument. Neogotycka wieża wyrasta ze wzniesienia Abbey Craig, przypominając o szkockim bohaterze narodowym, przywódcy powstania przeciw Anglikom, który – mimo że zdradzony, pojmany i ostatecznie stracony – przyczynił się względnej niezależności Szkocji w Wielkiej Brytanii.

Niemal pół wieku wcześniej i prawie tysiąc pięćset mil na wschód, w krainie zwanej Prusią, Borusią lub Pruthenią, rozegrała się bardzo podobna historia, o której, niestety, Mel Gibson nie nakręcił filmu i dlatego znana jest tylko nielicznym. Drugie powstanie pruskie, bo o nim mowa, wybuchło w 1260 r. i trwało czternaście lat, nie zaowocowało jednak choćby jedną samodzielną komturią pruską w państwie krzyżackim, rozrastającym się wówczas na północ od ziem polskich.

Jednym z dowódców powstania był Herkus Monte, stojący na czele plemienia Natangów. Wielu porównuje go, niezbyt szczęśliwie, do Robin Hooda lub Wilhelma Tella. Inni widzą w nim pruskiego Konrada Wallenroda, co już bardziej trafne, gdyż Mickiewicz częściowo wzorował się na postaci Herkusa, jednak Monte nigdy szpiegiem w masce nie był, a i historii miłosnej brak. Według mnie pruski przywódca najbardziej przypomina właśnie Wallace'a i często zastanawiam się, jak skończyłoby się powstanie pruskie, gdyby Krzyżacy przybyli do ziemi chełmińskiej trzydzieści, czterdzieści lat później. Państwo pruskie już by pewnie okrzepło i rycerzom zakonu nie udało się rozgromić jego wojska, tak jak nie udało się rozgromić wojsk polsko-litewsko-ruskich pod Grunwaldem. Można tak „gdybać”, zwłaszcza jeśli nie jest się historykiem...

Herkus Monte był potomkiem rodu Montemidów z plemienia Natangów. Jako dziecko został oddany „pod opiekę” (czyli w zastaw) rycerzom Zakonu. Wychowano go w Magdeburgu, gdzie odebrał solidne wykształcenie. Mówił biegle po niemiecku i doskonale znał łacinę, a przy tym sprawnie władał mieczem. Myślę, że Krzyżacy hołubili go z kilku powodów: po pierwsze ze względu na jego – dziś powiedzielibyśmy – arystokratyczne pochodzenie, po drugie widzieli w nim kartę przetargową, argument świadczący o ich „trosce” o rdzennych mieszkańców ziemi pruskiej. Czyż nie dali mu wykształcenia równego sobie i nie pozwolili wstąpić w swoje szeregi? Cóż za znakomity przykład realizacji idei asymilacji ludności rdzennej i napływowej (skąd my to znamy...!)

Herkus Monte – jako młody rycerz zakonny imieniem Henryk – powrócił na ziemię pruskie w czasie pozornego pokoju. Mniej więcej w tym czasie podpisano dekret pokojowy między Krzyżakami a plemionami pruskimi. Niestety, Krzyżacy nie przestrzegali zobowiązań porozumienia, co doprowadziło do wybuchu powstania. Herkus, zrzuciwszy płaszcz z krzyżem i imię od chrztu, stanął na czele buntu i przez kilka lat napsuł krwi Krzyżakom tyle (niszcząc grody i prowadząc wojnę podjazdową), że musieli prosić o pomoc papieża Klemensa VI, który wezwał rycerstwo na krucjatę. To był początek końca powstania – w 1273 r. ginie Monte, zdradzony przez pobratymca podobnie jak Wallace.

Zanim jednak wybuchło powstanie, Monte – licząc na pokojowe rozwiązanie – interweniował u papieża. W liście do Urbana IV próbował przekonać głowę Kościoła, że Prusowie wyrzekną się swych bogów i nieuporządkowanych przywiązań (z których najgorsze, jak wiadomo, wielożeństwo) i przyjmą chrześcijaństwo. List jednak pozostał bez odpowiedzi. Rozgoryczony Monte dopiero wówczas wstąpił na wojenną ścieżkę. Epizod papieski miał również Wallace. Szkocki bohater udał się w latach 1299-1230 do Bonifacego VIII z glejtem od króla francuskiego, lecz podobnie jak Monte nic nie wskórał...

Wśród pruskich przywódców jest jeszcze kilku innych podobnych Wallace'owi, jak choćby Skomand – już po upadku powstania walczący samotnie jeszcze przez dziesięć lat. Warto poznać ich historie.

Książki dla zainteresowanych:

Okulicz-Kozaryn Łucja, *Dzieje Prusów*, Wrocław, Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej; Leopoldinum, 1997.

Leo Jan, *Dzieje Prus*, z braniewskiego wyd. r. 1725 przeł. Julian Wojtkowski, Olsztyn, [Julian Wojtkowski], 2008.



Fot. Grzegorz Wadowski

Dwa wydarzenia przed jubileuszem

Krzysztof D. Szatrawski



Obchodząca w połowie bieżącego sezonu 65-lecie istnienia, olsztyńska orkiestra filharmoniczna każdym kolejnym koncertem potwierdza swą znakomitą pozycję i świetną formę. Wydarzenia koncertowe jubileuszowego sezonu nie są wielką niespodzianką. Od kilku lat orkiestra pracuje na swój sukces, czego wyrazem były również ubiegłoroczna nagroda Fryderyka za nagrania mszy Nowowiejskiego i wydana latem płyta „grunwaldzka”, zawierająca utwory Jana Adama Maklakiewicza, Romualda Twardowskiego, Stanisława Moryto i Janusza Bogdana Lewandowskiego, poświęcone sześćsetnej rocznicy zwycięskiej bitwy.

Tym, co w ostatnich latach inspirowało środowisko filharmoniczne do ożywionych działań, jest niewątpliwie perspektywa powstającego obok gmachu. Po raz pierwszy w 65-letniej historii olsztyńska filharmonia ma własne lokum, wybudowane z myślą o potrzebach orkiestry i słuchaczy. Jak ważna jest to świadomość, świadczyć może niezwykle ożywienie, jakie od kilku lat stało się udziałem olsztyńskiego zespołu, który coraz odważniej podejmuje wyzwania stawiane przez dyrektora Janusza Przybylskiego. Wyrazem aspiracji środowiska muzycznego może być również powołanie filharmonicznego chóru. Z punktu widzenia publiczności najważniejsze jednak jest to, że sezon jubileuszowy Warmińsko-Mazurska Filharmonia im. Feliksa Nowowiejskiego obchodzi z udziałem największych gwiazd i z doskonale dobranym repertuarem.

Wydarzeniem grudnia i ukoronowaniem ubiegłorocznej serii koncertów było wykonanie 17 grudnia *Polskiego Requiem* Krzysztofa Pendereckiego pod dyktando kompozytora. W nowym roku, 14 stycznia, orkiestra zaakcentowała swoją pozycję światowym

koncertem pod dyktando Janusza Przybylskiego, wykonując *V Symfonię* Beethovena i *III Koncert d-moll* Rachmaninowa z udziałem Eugena Indjica. Były to wydarzenia pod każdym względem wybitne. Pierwsze to historyczny występ pod dyktando jednego z największych współczesnych kompozytorów i wykonanie monumentalnego dzieła, którego znaczenie symboliczne i duchowe przekracza granice przeżycia wyłącznie estetycznego. Drugie to dwa wielkie dzieła, które cieszą się zasłużoną sławą, świetnie przygotowana orkiestra, odważne, bezkompromisowe interpretacje i znakomity solista w koncercie – to powody, dla których warto ten wieczór na dłużej zachować w pamięci.

Polskie requiem Krzysztofa Pendereckiego jest dziełem monumentalnym zarówno pod względem instrumentacyjnego rozmachu jak i potężnej, modularnej formy, opartej na szeregu uzupełniających się części. Ta właśnie cecha sprawia, że każde wykonanie jest z założenia odmienne, będąc swoistym eksperymentem zarówno dla kompozytora, jak i dla artystów. To nieustanne tworzenie dzieła można rozpatrywać w kategoriach intelektualnych jako strategię i estetycznych jako metaforę, niewątpliwie jednak ranga *Polskiego requiem* przekracza skalę największych dzieł współczesnej muzyki oratoryjnej, chociaż zauważyć należy, iż właśnie wcześniejsze dzieła Pendereckiego, *Pasja według św. Łukasza* i *Jutrznia*, przez lata wyznaczały najwyższy poziom artystycznych zamierzeń.

Koncert, traktowany przez wiele osób przede wszystkim jako wydarzenie o wymowie patriotycznej, odbył się w kościele pw. Chrystusa Odkupiciela Człowieka. Znakomici soliści – Izabela Kłosińska, Agnieszka Rehlis, Rafał Bartmiński oraz Piotr Nowacki – to klasa

sama w sobie. Chór Polskiego Radia w Krakowie, Chór Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej oraz poszerzony skład orkiestry, przygotowany przez Macieja Tworka, to potężny aparat wykonawczy, który uważnie podążał za gestem Krzysztofa Pendereckiego, wznosząc z dźwięków konstrukcję o niezwyklej głębi emocjonalnej.

Wykonanie *Polskiego requiem* było zarazem chrztem bojowym i pierwszym tak znaczącym sukcesem chóru filharmonicznego, który wspaniale wywiązał się ze swego zadania i po koncercie został zaproszony przez kompozytora do wykonania dzieła w innych miastach Polski. Pracujący pod kierunkiem Benedykta Błońskiego zespół daje nadzieję na częstszą obecność w olsztyńskich programach koncertowych dzieł wokally-instrumentalnych, chociaż wypada zauważyć, że Olsztyn od lat jest potęgą chóralną i na sukces tego chóru składają się wieloletnie doświadczenia tak chórmistrza jak i chórzystów.

Na najwyższym poziomie artystycznym stał także koncert z 14 stycznia. Chociaż *III Koncert fortepianowy d-moll* Rachmaninowa jest dziełem powszechnie cenionym, nie zawsze można go wysłuchać na żywo. Powodem są wysokie wymagania techniczne i interpretacyjne, jakie dzieło stawia przed solistą. Od orkiestry zaś wymaga pełnego symfonicznego brzmienia i dużej obsady, co też bywa problemem. Tym większe jest zainteresowanie publiczności, ilekroć *III Koncert* Rachmaninowa pojawia się na afiszach. A kiedy zapowiadany jest wybitny solista, można mieć pewność, że będzie to wydarzenie wyjątkowe.

Na szczególną uwagę zasłużył oczekiwany przez olsztyńskich melomanów od dawna, fenomenalny występ amerykańskiego pianisty Eugena Indjica. Pochodzący z Belgradu, od 4 roku życia zamieszkały w USA, pianista jest w Polsce artystą bardzo dobrze znanym. Czwarta nagroda w Konkursie Chopinowskim w 1970 r., a dziesięć lat później udział w jury, częste występy w Polsce oraz znakomite nagrania płytowe sprawiły, że jest on w naszym kraju artystą nadzwyczaj cenionym. Owacyjnie przyjęte wykonanie pianisty uzupełnił dwoma zagranymi na bis mazurkami Chopina – fis-moll op. 59 nr 3 oraz D-dur op. 33 nr 2.

Godna najwyższej oceny była uważna gra orkiestry. Pełne, nasycone brzmienie stworzyło znakomitą przeciwwagę kreacji solisty. Romantyczna aura dzieła, wzmocniona przez zagrane na bis mazurki, zdominowała emocjonalny klimat tego wieczoru. Po przerwie zabrzmiała wykonywana już wielokrotnie, znana nie tylko melomanom, *V Symfonia c-moll* Beethovena. Poprowadzona w wirtuozowskich tempach i zagrana z doskonałym wyczuciem dramatyzmu dzieła, najsłynniejsza z symfonii genialnego kompozytora stała się jedną z ostatnich okazji, by zapamiętać orkiestrę w sali, która wielu Olsztynianom kojarzyła się bardziej z filharmonią niż ze Szkołą Muzyczną. A dodać należy, że właśnie do Szkoły ta sala zawsze należała. Już w marcu po raz pierwszy w 65-letniej historii filharmonicy wystąpią we własnej siedzibie, otwierając nowy rozdział muzycznej historii naszego miasta.



Fot. Piotr J. Reszoczyński

BABA PRUSKI ZNIESMACZON WSZECHOGARNIA-
JACEM DZIADOSTWEM POSTANOWIŁ ODBYĆ
PODRÓŻ W ZAŚWIATY, GDZIE OD 738 LAT
MIESZKA HERKUS MONTE.



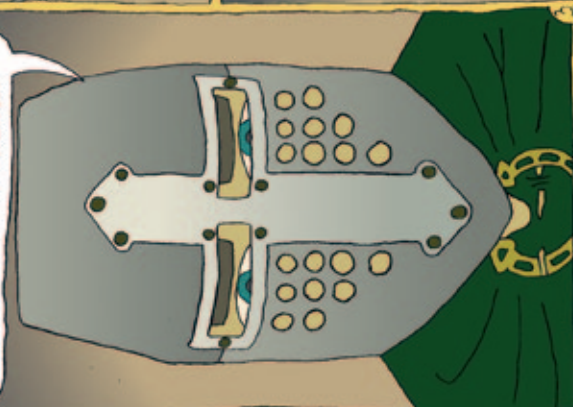
NASZ PRASTARY KLOC TRAFIŁ
AKURAT NA BANKIET WYSTA-
WIONY NA CZEŚĆ DZIAŁACZA
GÓRNIKA KACZMARCA.

BABA PRUSKI



NIE CZAS TERAZ NA BIESIADY I NA ŚWIECIE
PANOSZY SIĘ TOTALNE DZIADOSTWO: POST-
MODERNIŚCI, TVN, RIN'B, PKP, UE! MUSIMY DZIA-
ŁAĆ RAZEM, ZMIERZAĆ KU KONTRKONTRKONTR-
REWOLUCJI I NO, CHEŁPAKI!

HMM... TO JA MOŻE POWIEM
TAK: POMYŚLE DOBRY. ALE PO-
PATRZ TYLKO NA NICH...



AKSAMITNY, W MORDĘ,
ŚLEPIEC...



ZACNA BABA Z MÓZ-
GOWA...



NIESPOKOJNY ZWIĄZKO-
WIEC...



OBŚLIZGŁA DZEDZOWNICĄ!



ZAISTE, FATALNA TO BYŁA KOMPANIA. CÓŻ
MÓGŁE BABA POZNAĆ? SKORO JUŻ BYŁ W ZA-
ŚWIATACH, ZWRÓCIŁ SIĘ DO CHŁONICZNYCH
DEMONÓW Z NADZIEJĄ NA LEPSZE JUTRO...



...ALE ONI NIE ROZUMIELI CO TO JEST JUTRO.